

Wielki, nowoczesny teatr powstaje we Wrocławiu

Kiedy? Takie pytanie jednak nie jest najważniejsze, gdy chodzi o Teatr Dramatyczny im. Gabriela Zapolskiego, bo przecież już wiadomo, że w jesieni będzie otwarty. A nabyły jeszcze huk!

Może we wrześniu... Za to stokroć ważniejsze jest inne pytanie: jak będzie ten teatr wyglądał?

Nie ulega już wątpliwości, że będzie większy od Teatru Wielkiego, bo oblicza się go na 1200 miejsc, gdy Wielki mieści 1070 widzów. Poza tym każdy widz — będzie widzem. Nie ma na całej widowni miejsca, z którego nie byłoby widok sceny, chociaż teatr nie jest wielopiętrowy, bo oprócz parteru posiada tylko dwa balkony. Łóż nie będzie.

Mimo nowoczesnych urządzeń, o scenie obrotowej w nowym teatrze przestano już marzyć. To świetne urządzenie nowoczesnych teatrów, skracające przerwy między poszczególnymi aktami, nie było przez budowniczych zastępowane i nie będzie uwzględnione przy odbudowie.

ZAPADNIE, KURTINY I PROBLEM „HORYZONTU”

Sama scena nie nastroja wielu trudności. System „zapadni” pozwalający na sprowadzenie potrzebnych przedmiotów „spod ziemi”, jest dobrze rozwiązany. Ze łezna kurtyna (zapora przeciwogniowa) jest w dobrym stanie. Inne kurtyny nie są powodem zmartwienia. Za to „horyzont” — to poważny problem.

Horyzont — to wielka taśma zamalowanego płótna. Ma ona szerokość około 8 — 10 m długości — ok. 70 m. Jaki horyzont chcemy mieć na scenie, taki będziemy mieli, pokraczając walce czyli bębny, na które nawinięte jest płótno. Można więc horyzont nakreślić na deszcz, słoneczną pogodę, na lasy, góry itd. Gatunek płótna, jego szerokość, sposób zszycia (aby osiągnąć szerokość ogólną 8 — 10 m) — oto trudne zagadnienia, które stoją przed technikami zajętymi odbudową Teatru Dramatycznego.

Aparatura elektryczna, złożona ze skomplikowanych baterii reflektorów — to jedna z najdelikatniejszych maszyn teatralnych. Na szczęście znaleziono już fachowców w zakładach fabrycznych na Dolnym Śląsku. W Świebodzicach, jedynych w Polsce specjalistów od tego rodzaju urządzeń.

O aparaturę, zapewniającą dobrą grę świateł, można się więc nie trapić.

Nowy teatr korzystać będzie także z nowoczesnego instrumentu jakim jest... aparat kinowy. Zapewni on takie efekty na scenie, jakich inne teatry u nas są pozbawione.

TAKICH FOTEI NIE MA ŻADEN TEATR

Zejdźmy jednak ze sceny. I za tymczasem przy tym: włączenie dla orkiestry będzie w miarę potrzeb „likwidowane”, zakrywane. I ze sceny prowadzić będą schodki na widownię, co ułatwi poruszanie się podczas uroczystości odbywanych w gmachu teatralnym.

Tęcza pomyśliśmy razem z technikami: jaka podłoga byłaby najlepsza? Drewniana? Ale jak się zeschnie — będzie skrzypiała, a tego w teatrze być nie może. O zupełnie suchym drzewie nie można nawet marzyć, gdyż w okresie odbudowy kraju o takie drzewo jest bardzo trudno.

Posadzka? Musi być twarda, aby się szybko nie wydeptała. Może stosowana byłaby jakaś masa plastyczna, nie dająca pyłu?

To zagadnienie waży się obecnie.

Przejdźmy do mebli, do krzesła. Drewniane, tzw. „stylowe” miałyby te same wady co i podłoga, bo zaczęłyby trzeszczeć po wyschnięciu drzewa. Lepšie byłoby gięte, ale czy one pasują do teatru? Raczej — nie.

Prof. Politechniki Inż. Fryderyk, któremu nowy teatr już bar- dzo wiele zawdzięcza, wysuwa projekt:

— A może metalowe. Ponoć nie ma jeszcze teatru z metalowymi fotelami.

Projekt jest obecnie rozważa-

ny przez najważniejszych fachowców. Skrzypieć meble metalowe nie będą, to prawda, nie będą też dawać z widowni od- blasku, gdy dostaną „oksyd”, ale mogą wydawać dźwięki. A nuż ru- ry stalowe z widowni odpowie- dzą orkiestrze rezonansem? Ta- kie krzesła „samograjce” — to by dopiero była sensacja teatralna!

Nie ma obawy, aby tego rodzaju błąd mógł się trafić wytrawnym fachowcom, zatrudnionym przy budowie teatru im. Zapolskiego. Jeśli będą stawiane na widownię krzesła metalowe, będą one z pewnością... gięte. Po rozważa- niach teoretycznych nastąpią pró- by, które rozwiją wszelkie wą- pliwości.

DWIE MASZYN DO „KLIMATYZACJI”

Nie będziemy mówić o architek- tonicznym rozwiązaniu wnętrza widowni. Sprawę tę wziął w ręce rektor Geppert i przyobiecał wy- brać tego artystę. Nie będzie my się też rozwodził, że tuż ko- lo teatru przechodzi tor kolejowy, co nie jest okolicznością po- myślną. Wspomniemy tylko, że

akurat koło teatru znajduje się sygnal (semafor), toteż maszyni- sta, stojąc dłużej przy tej prze- szkodzie, niecierpliwie się czasem i puszcza w ruch gwizdek lokomo- tywy. Prawdopodobnie ten ne- wralgiczny punkt kolejowy moż- na będzie odsunąć nieco od tea- tru...

Na zakończenie musimy wspom- nieć o zasadniczej sprawie — po- wietrzu. Świeże powietrze na wi- dówni — to zagadnienie technicz- ne, które nas wszystkich żywo obchodzi. Specjalny wentylator musi chwytać powietrze z zew- nątrz, ogrzać je i wtłoczyć na sa- łę. Wpadać ono będzie na widow- nię całym systemem kanałów. Drugi wentylator będzie miał od- wrotne zadanie — będzie ciągnął powietrze z widowni i usuwał je na zewnątrz. Praca obu tych ma- szyn nazywa się „klimatyzacja” sali.

Mało się ostatnio mówi o no- wym teatrze, a tymczasem tem- po prac na ul. Zapolskiej jest coraz szybsze. Zapadają ostatnie decyzje techników i architektów.

W. Dr. ski

List z Wałbrzychu

Akcja Pierwszomajowa

W każdym wałbrzyskim urzę- dzie trwa teraz gorączkowa pra- ca. W każdej fabryce mówi się tylko o pierwszomajowych zo- bowiązaniach.

— Zdażymy na czas? — pyta- ją poszczególni przedownicy- pracy.

Przechodnie na ul. Słowackie- go kręcą głowami, gdyż dosłow- nie w ich oczach wielki gmach PDT robi się coraz piękniejszy. Na kopalniach górniczych patrz- na znaczące wydobyte wielkie tablice. W ich oczach pali się niezłomne postanowienie: — zwyciężymy!

To samo tempo pracy dostrze- gniemy w Zarządzie Ligi Kobi- et. Oddział ten liczył na dzień 22 kwietnia 5.000 człon- kiń. Ta imponująca cyfra nie za- dowala Zarządu. Koło prelegen- tek przy Lidze Kobiety, liczące 50 członkiń, postanowiło w ra- mach zobowiązań pierwszoma- jowych wciągnąć do Ligi następ- ne pięć tysięcy członkiń — tak- by pod sztandarami Ligi mogło wystąpić w dniu 1 Maja 10.000 członkiń.

Gdy zapytaliśmy o listę akty- wistów Koła Prelegentek, poda- no nam tyle nazwisk, że trudno- no je było wszystkie zanoto- wać.

Gdy chcieliśmy z jedną z ak- tywistek porozmawiać (była w tym momencie właśnie w Zar- żądzie L. K.) — odpowiedziała, że- chyba później, gdyż już czeka- ją na nią kobiety z Huty Szkła Lustrzanka. Tak było w isto- cie. Dwie minuty później Dasz- kowska (ona to była właśnie) jechała do Huty.

Cieężar pracy umasowienia or-

ganizacji nie spoczywa tylko na barkach koła prelegentek. W Oddziale LK w Wałbrzychu pracuje się razem. Daje to lep- sze wyniki.

Na zebraniu poświęconym zo- bowiązaniom pierwszomajow- ym postawiono wniosek, żeby- każda członkini L. K. wciągnę- ła do organizacji jeszcze pięć kobiet. Wniosek został entuzja- stycznie przyjęty. Rezultaty już są. Kobiety aktywistki LK tak- ie jak — Janczyńska, Bazia- kowa, Kłosik, Sztarnlichowa i inne docierają do wszystkich zakładów pracy. Pogadanki od- bywają się jednocześnie w wiel- kiej Hucie Szkła i w Wałbrzys- kiej Spółdzielni Spożywców — na obojętnej kopalni i przy- warsztacie kuchennym. Gdy na 1 Maja w Wałbrzychu nie powinno być ani jednej ko- biety, która by nie należała do Ligi Kobiety.

Nie zapomina się w Lidze również o wsi. Już istnieją tam koła Ligi Kobiety. Rosną i roz- wijają się. W niedzielę 24 bm. 30 prelegentek wyjedzie do 11 gmin powiatu wałbrzyskiego. Na wsi podobnie jak w mieście rozwinięta jest szeroka akcja um- asowania organizacji.

Członkinie Ligi Kobiety dla- uczczenia 1 Maja zorganizowa- ły kursy szkoleniowe. Prowa- dzi się obecnie kurs biural- stek, maszynopisania, kroju i szycia i kurs pielęgniarzek.

Wierzymy, że w przededniu 1 Maja członkinie Ligi Kobiety

będą mogły z dumą złożyć kró- ki meldunek:

— Jest nas dziesięć tysięcy! (ZM)

KĄCIK SZACHOWY

Turniej o mistrzostwo Jeleniej- Góry zakończył się zwycięstwem dr. Turskiego, który uzyskał 11,5 pkt., zdobywając na własność pu- char, ufundowany przez prezyden- ta miasta. Na drugim miejscu up- sował się J. Dzierkacz. Po 9 punk- tów zdobył, dzieląc się III — V miejscem — Wilczyński, Kuszewski i Gaj.

Dobłą klasę gry wykazał naj- młodszy uczestnik turnieju Kusze- wski. Turniej organizowała Polska YMCA. Uczestników 8, (ter)

Dn. 24 bm. we Wrocławiu, w lo- kału Polskiej YMCA, ul. Koliataja 20, o godz. 11-tej rozegrany zosta- nie mecz międzymiastowy Wro- cław — Wałbrzych. Mecz rozegrany będzie na 20 szachownicach. Obie drużyny wystawiają najsilniejsze

składy. W reprezentacji Wrocławia wystąpią m. in. Blaszczyk, Stach- nik, Major, Chadyński, w Wałbr- zyskiej — Jaszczuk, Wolner i in.

W turnieju o mistrzostwo Wr. Klubu Szachowego „YMCA”, po 10 rundach prowadził bezapelacyjnie Blaszczyk, na dalszych miejscach uplasował się na razie Jurczyński, Major i Jaszczuk. W turnieju u- czestniczy 22 zawodników.

Zorganizowany przez PZSz. ma- ły turniej treninowy przed meczem z Węgrami (rozegrany będzie w dniach 22—24 kwietnia), w którym wzięli udział niektórzy nasi repre- zentanci, przyniósł zwycięstwo Pla- terowi, dwa dalsze miejsca zajęli Gawlikowski i Grynfeld, następnie Kotomicki i Szpotanski.

czekanie, 30 godzin rocznie — patrzyenie w lustro, a tylko 4- godz. rocznie wycieranie nosa (nie bierze się pod uwagę ka- taru).

„MÓWIĄCA KSIĄŻKA”

W bibliotece kongresowej w Waszyngtonie znajduje się po- wieść „Przemienieł z wiatrem”, utworzona na 80 płytach. Wy- stąpienie tych płyt wymaga 40 godzin czasu. Biblioteka „ksią- żek mówiących” została zało- żona głównie dla niewidomych.

Tadeusz Borowski

Bogaty, smutny młodzieniec

Bogaty młodzieniec zapewniał Chrystusa, że spełnia wszystkie przykazania: nie zabija, nie cu- dzioży, nie krądnie, nie mówi fałszywego świadectwa, czci swe- go ojca i swoją matkę, kocha bliźniego jak siebie samego; mi- mo to jednak młodzieniec był- nieco niespokojny: „Czegóż mi- jeszcze nie dostawa?”

Usłyszał wtedy od Chrystusa niespodziewaną i bolesną odp- wiedź: „Jeśli chcesz być desko- nym, idź, sprzedaj majątności- twoje i rozdaj ubogim, a be- dzieś miał skarby w niebie, a przy- szedzący naśladuj mnie”. Ale młodzieniec nie chciał zamienić ziemskiego skarbu na niebieski — jak pisał św. Mateusz — „gdy usłyszał te słowa, odszedł smutny; albowiem wiele miał ma- jątności”.

Czego żądał Chrystus od boga- tego, smutnego młodzieńca? Mó- wiąc językiem współczesnym, w- obrebie swojej klasy młodzien- był cnotliwym, nawet wyróżniał- się surowym życiem, jak bez- chwalebnej skromności — oświ- adczy publicznie, ale dłałaleńko- ści jego klasy, posiadacza ma- jątków i lichwiarzy, spekulan- tów i łowców niewolników, spa- łała brzemieniem na jego kark: nie wystarczy być dobrym panem, aby być dobrym człowiekiem. Aby zostać dobrym człowiekiem, trzeba przestać być panem — nawet dobrym.

Czy młodzieniec który odszedł od Mistrza, miał niewolników? Zapewne! Był przecież bogaty. Toteż niedługo się musiał smu- kić: doszedłszy dojrzałego wieku męskiego, mógł uzyskać pioniem- ne wezwanie św. Pawła Aposto-

ła: „Panowie, bądźcie dobrymi panami niewolników, zostając do- brymi niewolnikami!” I ucie- szyl się: miał moralną sankcję- ustroju, którego nieodłączną- częścią sam stanowił.

II. „Panowie, bądźcie dobrymi pa- niami, niewolnikami! — ten apel nie oznacza (ujmując rzecz socjo- logicznie) żadnej przemiany ist- niejącego porządku. Wprost prze- ciwnie: „apel ten oznacza utwier- dzenie danego porządku” — na- pisał przed dwoma miesiącami prof. August Maria Knoll, koń- cząc dyskusję o stosunku kato- licyzmu do komunizmu, jaką- przeprowadził z Ernestem Fische- rem, członkiem sekretariatu „Ko- mitetu Centralnego Austriackiej Partii Komunistycznej (Oesterrei- chisches Tagebuch, nr 1, 2, 3, 1949).

Na postawione przez Fischera pytanie, czy katolicyzm byłby- skłonny współpracować z socja- listycznym społeczeństwem, profe- sor Knoll zastrzegł się że jed- nym z dogmatów katolickich jest- równość wszystkich ludzi przed- Bogiem. Zasadnicza równość- wszystkich ludzi, odpowiedział- Fischer, jest również podstawo- wym twierdzeniem komunizmu. Ale Knoll nie dał się tak łatwo- przekonać: „Jeżeli idzie o spra- wy socjologiczne, to istnieją- dwie formy porządku społecznego, z- którymi Kościół nie może się

pogodzić — anarchia i tyra- nia”.

„Czy mogę pana zlapać za sło- wo, panie profesorze?” — zapytał Ernest Fischer. — „Twierdzi- mó- wił dalej, że kapitalizm stanowi- niepokojącą syntezę anarchii i tyranii. W swojej formie współ- cześnie — jako kapitalizm mono- listyczny, jako imperializm i fa- szyzm — kapitalizm odrzuca- wiare, że rodzaj ludzki tworzy- jedną rodzinę, że wszyscy ludzie- są sobie równi. Kapitalizm może- się rozwijać tylko na grun- cie pojęć, że ludzie w o- bresie jednego państwa nie są- sobie równi, że narody nie są- między sobą równoprawne. Pójdź dalej. Twierdzi, że kapi- talizm — może to brzmieć para- doksalnie — jest właśnie tym- systemem, w którym anarchia- musi się spłatać z tyranią. Tak- zwana wolna konkurencja, chęć- zysku, wolność inicjatywy przed- sięwzięcia — wszystkie te pojęcia- kapitalizmu wytwarzają anarchię. Panowanie nad światem kilku- dziesięciu monopolów — oto tyra- nia. Świat drży przed nową- wojną. Dlaczego? Ponieważ w- Ameryce żyje kilkadziesiąt ro- dzin, dla których wojna nie o- zna- ca krwi, bomb i grobów me- sowych, ale interes, zysk i dy- widende. Mogą oni rozstrzygnąć- o wojnie i pokoju, o życiu i- śmierci. Cóż to innego, niż dia- belska mieszanina anarchii i ty- ranii”.

Na to profesor August Maria- Knoll: „Istnieje wiele rozma- itych teorii o istocie i teorii ka- pitalizmu. Można o tym dysku- tować godzinami”.

„Nie podawałem panu definicji- teoretycznej kapitalizmu — od- rzekł sucho Fischer, — lecz na- kreślałem obraz praktyki kapi- talistycznej. Pragnęłam uprzy- tominić panu, że system kapita- listyczny pozostaje w jasnej i- niezgodzie z wartościami, które- chrześcijaństwo uznaje za podsta- wowe i wieczne. Wolna spo- łeczność człowieka została w spo- łeczeństwie kapitalistycznym ska- zana na zagładę. Ekonomiczna- tyranja kapitalizmu i anarchia, jaka- on wytwarza, fałszują i kłę- pują demokratyczne swobody- człowieka; czynią człowieka do- datkiem do towaru, cieniem towa- ru. Gorzej nawet! Uczyniono- to- war z człowieka”.

III. Bogaty młodzieniec spokojnie- się zezastarzał i bogobojnie umarł;- między nadzieję jednak, że ucho- igielne było dostatecznie szerokie- być przecież „dobrym panem”.

Był? Naprawdę był? Czy czło- wiek może być dobrym handle- rem niewolników? Oznacza to- przecież, że dobrze handlować- nie wolnikami. Czy człowiek może- być dobrym faszystą? Widzie- liśmy tych dobrych faszystów- tych dlatego byli dobrzy, że- wyprowadzając ludzi na śmierć- tortur, fabryki śmierci i nędzy,

mawiali po ludzku, a potem- strzelali im w kark. Doświadcze- nie naszej epoki jest bogate: od- powiedzialność moralna spada na- człowieka nie tylko za jego in- dywidualne odchylenie od praw- i obyczajów jego klasy społecz- nej, ale również za postępowanie- całej jego klasy społecznej. Klasa kapitalistyczna posiada „na- własność” klasę robotniczą, może- — korzystając z umyślnie utwo- rzonej rezerwy bezrobotnych —- zapewnić sobie wygodną cenę za- pracę człowieka, może decydo- wać o jego spokoju i wolności. Może również ustalać dowolne- ceny za towar, topiąc jego nie- dmiar w morzu, jak kartofle i- kawę, przetrzymując w magazy- nach — jak bawelnę i ryż, niszcząc traktorami — jak go- towe samoloty. Może...

Ale dość. Drzewo wolności, jak powiedział przed dwoma- wiekami wielki demokrat emery- kański, musi być nieustannie- zraszane krwią wolnych ludzi. Nie wystarczy zawołać do wła- ściela niewolników: „Bądź do- brym panem!”. Trzeba było- toczyć długie i ofiarne wojny- o wyzwolenie człowieka. Nie wy- starczyło zawołać do faszysty: bądź dobrym faszystą! Trzeba- było milionów zabitych i zaga- zowanych, tysięcy zapracowa- nych na śmierć trzeba było za- łać morza łez i krwi, aby zmiz- z kontynentu krematoria i cele- tortur, fabryki śmierci i nędzy.

IV. Profesor August Maria Knoll- „Nie oczekuję pan chyba od Ko- ściółki, aby ogłosił Manifest Komu- nistyczny?”

Ernest Fischer: „Uchowaj Bo- że!”

Profesor August Maria Knoll- „Kościół w ogóle nie pragnie- wydawać żadnych manifestów. Dopiero wtedy, gdy dany system- wykaże się 20, 50 albo nawet- 100-letnią praktyką — Kościół- po obserwacji będzie mógł ozna- czyć jest on zgodny z Objawie- niem. Lecz typowy człowiek, który- wstępuje na barykadę, tem- „chudem”, napelnionemu nie- wiścią fanatyzmu — musi się- Kościół przeciwstawić. Skoro- jednak uchwyci on władzę —- swoje ręce, Kościół musi się- nim porozumieć. Musi uczynić- to między innymi, choćby dla- tego, że stał się on bardziej- świadczony, dojrzały lub je- pan woli — grubszą”.

Ernest Fischer: „Czy pan wy- czy, że Chrystus był gruby?”



Skomplikowana podróż do Środy Śląskiej

Narzekano na nią p. Józefik (Wro- cław), donosząc:

„W piątek, tj. 3 bm. wykupiłem- bilet do Środy Śląskiej i zapłaci- łem połowę 11 klasy (ulgowy) 105- zł. Gdy przyjechałem do Środy- Śląskiej, okazało się, że trzeba- było do Środy Miejskiej jeszcze 3- km. Zmuszony byłem wykupić bi- let w wagonie i zapłaciłem jeszcze- 40 zł. Jadąc z powrotem wykupi- łem bilet w Środzie Miejskiej i za- płaciłem 105 zł. Dlaczego PKP ro- bi takie różnice w nazwach i po- woduje dezorganizację wśród pa- sażerów.

2. W Środzie są dwie tablice od- jazdu i przyjazdu pociągów, jedna- na papierze z tego roku, a druga- jeszcze z zeszłego roku, nieco po- zaklejana papierkami. Po co wi- si ta druga i dezorientuje pasaże- rów?

3. Nad drzwiami jest napis „Po- czekalnia klasy II”, — drzwi nie- stety, zamknięte. Po co wobec tego- ten napis?”

Drobna rzecz, a wstyd...

Oryginalna kara

Na pomysł bardzo oryginalny u- karania uczniów wpadła dyrekcja- I gimnazjum przy ul. Poniatowskie- go we Wrocławiu. Donosi o tym p. Tadeusz Czerwinski:

„W dniu 1 kwietnia w I Gimna- zjum i Liceum młodzież jednej- z klas w czasie wolnej godziny, nie- szanując tradycję „prima aprilis”

przestawia w sali ławki i krzesła- przenosząc się do innej klasy. Wy- bryk prawdziwie dziecięcy. Dyrek- cja postanowiła jednak zart ten u- karać. Wyznaczono karę dość ty- gorystyczną i niezrozumiałą za- tem, każąc uczniom w liczbie 11- przynieść do szkoły po jednym- krześle (7) pod rygorem obniżenia- stopnia i zachowania się, a nawet- zwolnienia ze szkoły. Jestem zda- nym, że wybór kary. Koszt jed- nego krzesła wynosi obecnie około- 1.500 zł (cena w PDT). Skąd ma- wziąć uczęć czy uczennicę, że kw- tę na zakup krzesła, uwzględni- przynieść krzesło z domu, jeśli ka- rzysta z podnagłego pokroju? Pa- tym, jak przedstawia sobie dyrek- cja szkoły rozwiązanie sprawy i- Urzędem Likwidacyjnym odnośnie- przemieszczenia 29 krzeseł? W końcu- jakie względy wychowawczo-spo- łeczne kryją się w wymierzaniu ka- ry tego rodzaju? Pytania te kier- ją do Redakcji od siebie i 29 uk- ranych grzywną rodziców. To ju- nie „Prima Aprilis”.

Okazuje się, że można meblowa- szkołę różnymi sposobami.

Śladem

naszych wypowiedzi

Związek Zawodowy Robotników- i Pracowników Przemysłu Budowl- nego, Ceramicznego i Pokrewnych- Zawodów, Oddział we Wrocławiu- w odpowiedzi na list, zamieszczony- przez nas w dniu 12 kwietnia p- „Wypłaci robotnikom ich zarobki- prosz o zamieszczenie pozytywnej- odpowiedzi:

„Wzmianka w prasie w dniu 11- bm., ogłoszona przez robotników- zatrudnionych w swoim czasie- w przedsiębiorstwie budowlanym- Rowiński — przechno Zw. Zawo- dowy Pracowników Budowlanych- we Wrocławiu — nie pokrywa się- z prawdą. Faktem jest, że na ska- tek aresztowania właściciela tego- przedsiębiorstwa w czerwcu 1948- roku robotnicy nie zostali opłacone- a znajdujący się majątek firmy za- jęty w całości odpowiednio wład- tytułem założeńi podatkowych.

Tymczasem robotnicy zwrócili- się z interwencją do Związku Z- wodowego Pracowników Budowl- nych, który skierował natychmiast- całą sprawę według właściwości- do Sądu Grodzkiego, gdzie uzyska- no wyrok, zaopatrzone klauzulą- tychmiastowej wykonaności. O- koliczki skierowano wyrok do Kom- niki Sądu Grodzkiego w celu tel- gnicia należności.

Ponieważ przez dłuższy czas- stagnacja jakichkolwiek kwot- pła- niętych napotykało na duże trud- ności, mimo stałych interwencji- morknika i Związku Zawodowego- przeto należność robotnikom- mogła być wypłacona. Po skłona- waniu robót budowlanych, w dniu- 6 bm. uzyskano odpowiednią- sumę i robotnicy otrzymają- s- sowne wynagrodzenie.

Jednocześnie Związek Zawodowy- wyjaśnia pokrótce przyczynę- korn, iż w granicach swoich- kompetencji spełnił zadanie, kierując- powyższą sprawą na drogę sądu- do dalszego definitywnego załatwe- nia”.

P. Henryk Polak — Radzimy- się- do Dyrekcji Lasów, Wro- cław, Plac Grunwaldzki 60.
P. Jan Kietkiewicz Wrocław, Jak- wyżej.

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

W godzinach- sklego- strzo- w sta- raz- ja m- Oleśn-

SPORT

O tytuł najlepszego ligowca walczy Pafawag i Ogniwo

W Hali Ludowej stoczą dziś bój dwie ligowe drużyny bokerskie Wrocławia. Tradycja walk Ogniwa (dawny IKS.) z Pafawagiem jest dość długa, jak długa jest historia boksu dolnośląskiego.

Zawody dzisiejsze będą, rzecz jasna, meczem przyjaźni, ale będzie to mecz zacięty. Stawka jest przecież moralny tytuł mistrza okręgu.

Kto wygra — trudno przewidzieć, tak jak zawsze jest kwestia otwartą wynik walk, stałych konkurentów do tytułu mistrza okręgu Faski z Kurowskim, Sztolca z Walugą, czy też Horbonia z Krupin-skim.

Mecz będzie ostatnim poważnym sprawdzianem wartości zawodników przed zakończeniem sezonu.

Kapitan sportowy D.O.Z.P.N. na podstawie mistrzostw Polski i tego właśnie spotkania zestawia kadre reprezentacyjną okręgu i ewentualne osemki na wielomecz z okręgami śląskim poznańskim i łódzkim.

KOGO ZOBACZYMY W RINGU?

Kto z kim się spotka w ringu, dowiemy się dopiero w ostatnich minutach, albowiem kierownicy obu sekcji trzymają składy w tajemnicy.

Malarze, literaci i teatr biorą udział w mistrzostwach Polski

Serdeczne stosunki jakie wiążą społeczeństwo dolnośląskie z młodzieżą sportową wyraziły się udziałem całego świata artystycznego w przygotowaniach do mistrzostw bokerskich polskich.

Jako pierwsi zgłosili nagrody Związek Plastyków, Literatów i Teatr.

Swoje obrazy ofiarowali:

prof. Geppert, prof. Dolżycki, prof. Dawski, prof. Dawski i Wit.

Finaliści otrzymają książki literatów dolnośląskich ofiarowane przez Stanisława Dygata, Wojciecha Zukrowskiego i Stefana Łosia.

Dyrektor teatrów dolnośląskich ob. Sztefnyński ofiarował dla najlepszego wrocławianina roczny bilet na wszystkie premiery w teatrach dolnośląskich.

Nagrody zostaną wręczone pięściarzom przez ofiarodawców osobiste.

Jako następne wpłynęły nagrody Gazety Robotniczej i Słowa Polskiego.

Prosimy o przedłożenie tego listu ofiarodawców i zgłaszanie nagród na mistrzostwa bokerskie Polski na adres Słowa Polskiego, Olawska 10, tel. 27-55 red. Ostankowicz, albo do Wr. Zw. Bokerskiego, ul. Podwale Olawskie 2a.

Mistrzowie szabli

Tytuł mistrza świata w szabli w konkurencji drużynowej zdobyły Włochy, zwyciężając w ostatnim spotkaniu w grupie finałowej Francję w stosunku 9:4. Trzecie miejsce zajęła Egipt, wygrywając z Belgią również 9:4.

W poprzednich spotkaniach rundy finałowej Włochy wygrały z Belgią 14:2 i z Egiptem 13:3. Francja zwyciężyła Egipt 8:8 (przy lepszym stosunku trafień 63:61) oraz Belgię 12:4.

Uwaga motocyklistów!

Zebrań organizacyjnych Sekcji Motocyklowej „Związkowiec” odbędzie się dnia 25. 4. 1949 r. o godz. 18-tej w lokalu Związku Zawodowego Transportowców ul. Powstańców 1. Na zebraniu obecny będzie delegat z Wrocławia.

Wrocławianki w reprezentacji Polski

Polski Związek Lekkoatletyczny organizuje w Czerwińsku oboz szkoleniowy dla lekkoatletek, który będzie trwał od 1 do 20 czerwca.

Na obóz powołane zostały czolewkie lekkoatletki polskie, z których jedyną wybraną drużyną reprezentacyjną na mecz z Czechosłowacją 18. 6. w Krakowie oraz kadra narodowa.

Z Wrocławia na obóz wyjadą Wilhelmi, Ronczewska, Stepkowska (Czarni), Kamińska (AZS) Paszkówna (Ogniwo) i Flakowiczówna (Spółna).

Na pewno kilka z nich zasilą kadrę reprezentacyjną.

Na stadionach

Dziś na boiskach i ringach wrocławskich zobaczymy następujące imprezy:

BOKS:

O godz. 11.30 w Hali Ludowej derby Wrocławia Pafawag — Ogniwo.

PILKA NOŻNA

Mistrz. klasy A. Godz. 11.00 Dzień wiarz. Leg. — Gwardia, O. godz. 16.00 Legia — Związkowiec. Stad. Olimp.

Godz. 17.00 boisko Odry Lustrzanka — Odra (Wrocław).

MECZ LIGOWY:

Boisko Pafawagu o godz. 17.00 Chetmek — Pafawag.

NA DOLNYM ŚLĄSKU:

W klasie A: Górnik — Związkowiec J.G., Zarów — Solidarność, Gwardia K.G. — Mieszko, Julia — Garbarnia, Nysa — Leń, Cukrownik — Bielawianka.

Cechie Karlin-Praha na stadionie wrocławskim

Znakomita drużyna piłkarska Karlin, która pokonała Spartę 5:2 i zremisowała ze Slavią 2:2, zaadresowała do wrocławskiego Związkowca następującą depeszę:

— „Chcemy przyjechać do was na Zielone Świąta”.

— Przyjeżdżajcie — uciechyl się Związkowiec i poprosił o zgodę GUKF.

W rezultacie tej korespondencji zobaczmy na boiskach dolnośląskich trzy mecze ligowców czechosłowackich, którzy grać będą z ZS Związkowiec Wrocław, reprezentantami Zrzeszenia w Wałbrzychu i Jel. Górze.

Zrzeszenie rozporządza piłkarzami wrocławskimi, Garbarni z Brzege, Cukrownika ze Strzelina i Związkowca Jel. Góra.

Główne wygrane Loterii Państwowej

12-ty dzień ciągnięcia 4-tej klasy Wygrana 3.000.000 padła na nr 94516 w Warszawie.

Wygrane po 1.000.000 padły na nr nr 15273 w Lublinie, 38273 w Częstochowie, 46309 w Warszawie, 50602 w Kaliszu.

Wygrane po 100.000 padły na nr 23246 31729 66261 82374.

Wygrane po 40.000 zł padły na nr 3216 8418 1093 5630 18806 27297 28088 38074 48127.

Wygrane po 10.000 zł padły na nr 2616 3573 4703 23266 30430 42932 46070 52938 62544 82121 88605.

RADIO

24 KWIETNIA 49 R. (NIEDZIELA) 6.45 Sygnał czasu i piodubka młoda. 6.50 Program dnia. 6.55 Muzyka. 7.00 Wiadom. dla wsi. 7.15 Muzyka rozrywk. 8.00 Dziennik poranny. 8.20 Przegląd prasy. 8.35 Muzyka. 8.55 Najciekawsze audycje przyszłego tyg. 9.00 Nabór do Związku. 10.00 Aud. dla chorych. 10.10 Aud. regionalna na „Dzień Lasu”. 11.00 Lokalny program dnia. 11.02 Inform. Radiol. Przewod. 11.05 Kwadrans poezji. 11.20 Muzyka operowa. 11.50 Aud. Okr. Kom. Zw. Zaw. 11.57 Sygnał czasu i hejnał. 12.04 Radiokronika. 12.14 Kone. symfon. 14.00 Niedziela na wsi. 14.40 „Kujawy”, aud. dla dzieci. 15.00 „Balladyna”, fragm. 16.00 Dziennik popoł. i transmisja z Kongresu Pokoju w Paryżu. 16.30 Muzyka. 16.45 „Nowe książki”, fel. 17.00 Koncert rozrywk. 18.00 „Fen Tadeusz”, odc. 13-ty. 18.20 Lud. muzyka brazylijska z Wrocl. 18.35 Melodie świata. 19.00 Aud. rozrywk. „O człowieku, który mordował melodie”. 19.30 Muzyka popoł. 20.00 Dziennik wiecz. i transmisja z Kongresu Pokoju w Paryżu. 21.00 Werymowa do Polski. 21.30 Audycja świetlica. 21.45 Na muzycznej tali. 22.00 Sport. 22.10 Muzyka tan. 23.00 Ost. wiadom. 23.10 Muzyka tan. 23.50 Program na jutro. 24.00 Hymn.

Zamówienia

na dzienniki i czasopisma radzieckie w prenumeracie przyjmują placówki „CZYTELNIKA” w całym kraju

WE WROCŁAWIU: Adm. Wydawnictw: ulica Olawska Nr 10/11, Księgarnia „Czytelnik”, ul. Nowotki 13, oraz ekspozytura: Jelenia Góra — ul. Konopnickiej 10-a, Wałbrzych, ul. M. J. Stalina 2. W-97

JULIUSZ FUCZNIK

„Listy z więzienia” „Koniec Carycy” „O Karolu Czapku”

Rewelacyjna proza artystyczna wielkiego czeskiego pisarza i rewolucjonisty w marcowym (III) zeszyście miesięcznika

W-122

„TWÓRCZOŚĆ”

Wszędzie do nabycia Cena zeszytu 120 zł.

Wszystkie placówki „Czytelnika” w całym kraju

przyjmują zamówienia na prenumeratę dzienników i czasopism radzieckich

Można zamawiać — oprócz dzienników — czasopisma z następujących dziedzin:

geografia — geologia — przyroda — matematyka — fizyka — chemia — technika — przemysł — budownictwo — medycyna — biologia — fizjologia — rolnictwo i leśna gospodarka — weterynaria — transport — łączność — literatura i sztuka. W-120

SZTANDARY

Związku Młodzieży Polskiej — Partyjne. — Zw. Zawod. (Zatwierdzone przez Zarz. Gł.)

wykonuje firma J. ŁOWINSKI

Poznań, Garbary 20 Filia Wrocław

Gen. Świerczewskiego 93 — 2 min. od Dworca Główn. K1492

„AGROSAN”

zaprawa rt. (prep. ang.) „Staube-Arcol”

środek owadob. (prep. niem.) dostarcza „PODKOWA”

Poznań, Dominikańska 7 K-1584

KUPIĘ

maszyny stolarskie: wyrównarkę, grubościową, frezarkę, pilę taśmową; reflektuje na nowe ewentualnie mało używane, oferty

ZAKŁAD STOLARSKI BARZCKI ALOJZY

Mikołów, G/Śl., ul. Pszczyńska 20, telef. 21231. K 1745

Sprzęt budowlany

na wolnym rynku zakupi

PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWY PIECÓW PRZEMYSŁOWYCH

Wiad. kier. Wrocław, ulica Siemienieńskiego 10 m. 2 3101

Jadwigę Lipińską

ostatnio zamieszkałą w Warszawie a obecnie nieznana z miejsca pobytu, wzywa Sąd Okręgowy we Wrocławiu, ul. Sądowa Nr. 1 do zgłoszenia się w sprawie rozwodowej I.C. 239/49, wytoczonej przez jej męża. 3106

Ogłoszenia drobne

HANDLOWE

KUPIĘ zaraz planino maszynę do pisania oraz lodownię. Oferty „Na tychniast”.

FOTOGRAFIE nagrobkowe wieczno trwałe. „Elchafilm”. Warszawa, Marszałkowska 108. Informujemy listownie K 155

POSAD POSZUKUJĄ

NAUCZYCIELKA — korepetytorka przygotowuje do egzaminów. Przed mioty humanistyczne. Daszyńskiego 13/10. 3105

OSOBA w starszym wieku poszukuje pracy, najchętniej przy chor. Zgłoszenia do „Słowa” pod „Zręczna”. 3117

WOLNE POSADY

POMOCNICA domowa potrzebna od zaraz. Zgłoszenia między 10-13 go dziną w Hurtowni Czekol. Rowerowych, Wrocław, ul. Kościuski 35. 3085

POMOC domowa (referencje) potrzebna. Zgłaszac 13-18 Daszyńskiego 6/4. 3122

WYKWAŁIFIKOWANA pielęgniarka z referencjami do Niemcowa na dobrych warunkach potrzebna. Oferty pod „Pewność”. 3124

PRZYJMIE wykwalifikowanych czeladników zakład krawiecki Jelenia Góra, Demokratów 17 i piętro. K 1662

LOKALE

MIESZKANIA w dzielnicy willowej pilnie poszukuję. Zgłoszenia pod „Łazienka”. K 1686

Finale gier w szkołach

W niedzielę, 24 kwietnia br. o godzinie 10-tej w sali I Szkoły Ogólnokształcącej przy ul. Poniatowskiego 7 we Wrocławiu rozpoczyna się finały grupy wrocławskich mistrzostw szkolnych Dolnego Śląska w siatkówkę męską i żeńską oraz w koszykówkę męską. Startują mistrzowie podokręgów: Brzeg, Oleśnica i Wrocław. Barw Wrocław-

wia bronią drużyny: I Szkoły Ogólnokształcącej oraz Liceum Budowlanego. Wstęp 20 zł.

Pięściarzem Pafawagu: trenerowi Kazimierzowi, oraz zawodnikom Sztolcowi, Szczepanowi, Faski i Pajdowskiemu dziękujemy za nadesłanie nam pozdrowień z obozu kondycyjnego w Szklarskiej Porębie. Red.

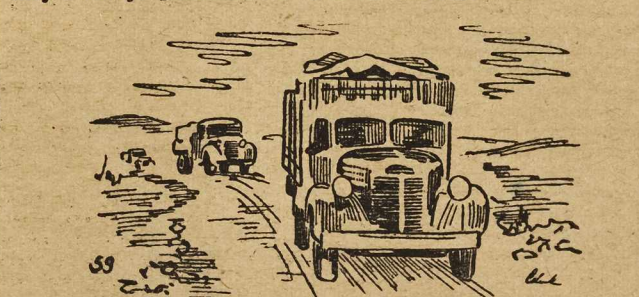


Inż. Stanisław Darewicz wraz z całą ewakuacyjną dąży ku Palestynie — do ośrodka formującej się armii polskiej. W drodze dowiada się, że akcja jego są odesłane do miasteczka Rehoroht, głównej kwatery polskiej na Srodkowym Wschodzie.

Długi wąż samochodowy pustynnego konwoju wili się najpierw ku przełęczy Pajtak drogą na Kazwin, Hamadan i Kermanszach, a potem opadał ponad górskimi wąwozami do zalanej malarycznymi leniwymi wodami pogranicznej miejscowości Sari-Pul-Zuchab. Wieczorami konwój przybywał do etapów, gdzie setki namiotów oczekiwały na podróżników, spragnionych odpoczynku od skwaru i wstrząsów. Rozdawano żywność, a przede wszystkim napoje chłodzące, stała obsada etapów załatwiała formalności „meldunkowe” i dopytywała się o nowinki; krótka, duszna noc mijała szybko i od rana — wśród warkotu setek silników — w kurzawie pyłów pustynnych — ruszano dalej ku zachodowi.

Nad olbrzymim słodkim jeziorem Habanyi, tkwiącym pośród niezmiennych piasków Iraku, tak niespodziewanie jak wyspa pośród oceanu, wypadło czekać dłużej. W obozie panowała milczenie niemal śmiertelne. Słońce już nie oddychało tu żarem, ale nawisło pięknem ostatecznego

zniszczenia. W południe ludzie nie odważali się na przechodzenie z namiotu do namiotu pomimo zaopatrzenia w korkowe hełmy: byłoby to zbyt niebezpieczne. Samochody odjechały z powrotem do Persji. Liczono dni, kiedy przybędzie nowa wyprawa motorowa od strony Palestyny. Przed transportem była jeszcze najtrudniejsza część podróży wzdłuż rurociągu naftowego, ciągnącego się tysiącami kilometrów i napaśtowanego przez bandy koczowniców. Mówiono wiele o spadochroniarzach niemieckich, lądujących w pustyni i podniecających Arabów do buntu, a o wielkim nalocie Niemców na stację rurociągu w samej Habanyi pozostała również trwała legenda.



W Habanyi Darewicza wezwano do namiotu komendanta obozu. Był nim — jak w innych obozach tranzytowych — oficer polski z „drugiej grupy”, czyli taki, który nie uzyskał przydziału do Brygady Karpackiej i aż do czasu powstania problemów ewakuacyjnych nie miał przydziału, toteż sprawował swoje pierwsze po „wrznięciu” obowiązki z całą gorliwością i służbiestwością. Darewicz wie dział, że komendant jest kapitanem rezerwy i że w cywilu był adwokatem poznańskim.

Kapitan wstał na powitanie Darewicza i przyjął jego

meldunek. Siwe oczy wojska wyrażały zdumienie. Spodziewał się, że zobaczy kogoś zupełnie innego, tymczasem widział młodzieńca o łagodnym wyglądzie, patrzącego jasno i prosto.

— Wezwalem pana — powiedział — ponieważ w ewidencji transportu zaznaczono, że jest prowadzone przeciwko panu jakieś dochodzenie. Ponadto mój oficer od tych spraw ma panu coś do zakomunikowania. Jest to ale jeden z waszych... z Rosji.

Darewicz wyjaśnił, że dochodzenie prowadzone jest na jego własne żądanie i skierowane jest przeciwko innym osobom.

Kapitan czekał na bliższe szczegóły, podnosząc wysoko brwi.

— Chodzi o topienie ludzi w Morzu Kaspijskim — tłumaczył dobitnie Darewicz.

Wielkopoleńcin aż podskoczył.

— Nie podobna! — wykrzyknął. Widać było, że jest niezmiernie zaintrygowany. Życie w „drugiej grupie” układało się przecież bez żadnych sensacji przez długie dwa lata...

Więc Darewicz wyjaśniał wypadki i ich podłoże, a prawnik brał się za głowę, obrażony zarówno w swoim oficerskim jak i legalistycznym poczuciu.

Wezwany z sąsiedniego namiotu oficer „od tych spraw” przybył wkrótce i ku zdumieniu Darewicza okazał się starym znajomym. Podchorąży przybłądł i zerwał się z miejsca, kiedy znów zobaczył przed sobą szczupłą postać towarzysza Kamy Rybickiej z wizyty w Kołubance i rozpalał go gorączką, blade oczy.

Kapitan wstał, zaniepokojony gwałtownym zachowaniem nieśmi podchorążego.

Darewicz przyjrzał się porucznikowi z bliska i uważnie. Pomyłki nie mogło być.

(d. c. n.)

Jadąc pociągami z Poznania do Wrocławia, na jakiejś małej stacji długi przegladam się okolicy. Widok jest niezapomniany: piaszczyste pole, nieszczęśliwie ozimiona wdziera się na wzgórce, z którego widać nie ustępując las. Ostatnie jego bartagardy w postaci obłamanych, schyłkowych sosen, trzymają jeszcze straż, ale z każdej ich gąszi z każdego komaru przebiega zrzędnienie i rozpacza. Zielony front lasu wygibna się coraz bardziej do tyłu, następuje krok za krokiem, szaropanny szuraniem wicher, dławiony falami kotłowego piaszczu. To nie życie wdziera się w knieja za siekierą plantatora: to śmierć odnosi triumf.

Krocząc ona przez czasy i pokolenia konsekwentnie i nieubłaganie: w roku 1793 obszar kraju zalesiony był jeszcze w 43 proc. W roku 1921 mamy już tylko 25 proc. lasów, w dziesięć lat później 22 proc., w roku 1937 tylko 19 proc. Przyłączenie do granic Polski nowych bogatych pod względem zalesienia obszarów powiększyło ten stan do 22 proc. Jest to jednak sukces pozorny.

GDY PŁONĄ LASY...

Okolice Kaliszki, zachodnie rubiele Rzeczypospolitej. Kilometrami ciągną się samarytany sosen. Z dala wygląda to, jak wielka, żółta plama, strawiona przez pożar. Latem w Karkonoszach snują się dymy ognisk: jakże często zapomniane płomyki przeszkakuje na suche igłowie, jakże często nocą dymy świecą w ciemnym pensjonacie i domach wypoczynkowych! Les płonie! Tak było w szesnastym roku: ale sto na obszarze powiatu milicznego w marcu br. spłonęło 15 ha lasu modrzewiowego, debowego, w powiecie namysłowskim pożar strawił 5 ha lasu. Porównamy z rokiem ubiegłym: już teraz, z perspektywy kilku miesięcy, stwierdzić możemy znaczny wzrost pożarów lasnych. Znowu winę ponoszą beznadziejnie ludzkie, przostawiający ogień, wypalający dzikie łąki i pusznie. Nie pomagają przykrydy prawdziwej odwagi i męstwa przy gaszeniu tych szalejących pożarów: dziesięć nie naprawi szkód. Zalesić je można tylko długie, długie lata.

Poznań. Lat temu sto, półno i zachodnia część powiatu należała do najzuboższych w województwie. Poznańskie było spichazem kraju. Niepostrzeżenie, w ślad za siekierą drwała, szedł krok za krokiem lotny piaszczu. Dlaczego nikt nie bił na alarm, dlaczego nie woła o pomoc? Za lat pięćdziesiąt...

Na zielonym froncie życia

LESZEK GOLINSKI

świat piaszczu dotrze do bram miasta, zamieniając jego okolice w jałową pustynię. Wiele wicher, szaleją pożary, trzymają beznadziejność. Las ginie.

Wrocław. Miasto wilgoci i malin. Obmywa je Odra z wszystkich stron, zatrzymując w niej moczary. Plaga komarów gnębi mieszkańców, projektuje się walkę z nimi przy pomocy samolotów. Poczci wysysają samoloty przeciw komarom? Beznadziejność administracji niemieckiej wytycza lasy, otaczające kiedyś gęstym pierścieniem miasto. Drzewa pochłaniały wilgoć: dzisiaj niweczy ona trud pracy ludzkiej, wydiera ziemię chłopu, przepala płucza miasta. Zginął las, najlepszy przyjaciel człowieka, otworzył bramy wicherom, które wala na głowy mieszkańców wypalone ściany, szaleją na ulicach miasta — bezbronnych, nieosłoniętych.

Półtora miliona hektarów ziemi...

między nimi leży w kraju odległym. Wymarło na nich życie, zalała je woda, zasypał piaszczu. W obliczu wielkiej katastrofy, która grozi może przyszłym pokoleniom, już nawet naszym dzieciom, nie będziemy bić na alarm, ani zalecamy walczyć.

Człowiek musi dołączyć się do zielonego frontu. Musi zapłacić wyrwy. Musi stawić czoło pochodowi śmierci — ramię w ramię z drzewem, z lasem. Wyspa lasów w Polsce obejmuje zaledwie 65,000 km kwadratów. Rzućmy hasło, wytyczamy plan: musimy podnieść zadrzewienie kraju do 25 proc. jego powierzchni. Musimy dorównać stanowi z roku 1921.

CO ROBIĆ?

Jesteśmy w szczęśliwszym położeniu, niż kiedykolwiek. Możemy czerpać pełną dozę doświadczenia od naszego wschodniego sąsiada. Więcej, plany (zawsze planowe) zale-

żenie nieuczyników na woj (1000 sadzonek kosztuje tylko 5 zł). Za grosze możemy obsadzić pałami drzew wszystkie szlaki komunikacyjne, biegnące u nas z południa na północ; stworzymy w ten sposób wały ochronne przeciw wicherom zachodnim. Możemy zalesić minimalnym kosztem brzegi Odry, nałóż dzisiaj i jałowe, aby wódkę nie krzewiło się życie. W Związku Radzieckim wydawnie podniesiono w ten sposób wy-

dałość z hektara, uratowano miliony hektarów od śmierci ożywionego pustynie. Nasze zadania są mniejsze, ale równie ważne.

Wrocław był pięknym miastem, zanim wojna nie poczyniła w nim potężnych szwerców. Wrocław jest dzisiaj miastem robotniczym, miastem uczonym, miastem studenta. Straszają jeszcze mieszkańcy wyspy śmieci, gdzie przechadza się śmierć i

warują miny, jak złe psy. Ale ruszyli już na miasto brygady robotników, aby oczyścić swoje miasto z ruin i dostarczyć cegły stolicy. Jadą oddzielnie długie pociągi z cegłą do Warszawy, po drewnianych rybnach, jak pociągi na nitce, spływają one z wypalonych ścian, układają się w pryzmy. Powoli znikają księżycowe ulice, wraca do nich słońce, ale nie wraca życie.

MIASTO PRZYSZŁOŚCI

usimy wysłać tam buldożery, aby przeorały ostatnie grzyby i użyźniły glebę. A potem — leżą już gotowe plany w Dyrekcji Odbudowy — powstaną w tych zniszczonych dzielnicach lasy, parki, enklawy zieleni. Ponieważ wielkie zakłady pracy Wrocławia leżą właśnie w najbliższej zniszczonych dzielnicach (Pafawag, Fasil), robotnicy — dumne miasta — jeździć będą do pracy przez piękne, słoneczne parki, radość ich dzieci. Rany wojny zagoi się w ten sposób najlepiej i w Warszawie i we Wrocławiu i we wszystkich zniszczonych miastach. Miasto przyszłości, stwarzające najlepsze warunki zdrowotne swoim mieszkańcom, a specjalnie klasie robotniczej, nie zniechęcając dotychczas słońca i zieleni — dzielić będzie dzielnicę mieszkaniową od fabrycznych włości takimi enklawami lasnymi. Aby płucem więcej przybyło, temu, aby zginęła, bezpowrotnie wrocławską miasteczko, aby teren osuszony z nadmiaru wilgoci, aby wicher niepokonył na nieprzebytą zapórę, aby wieś podwrocławską zaległa z urodzaju.

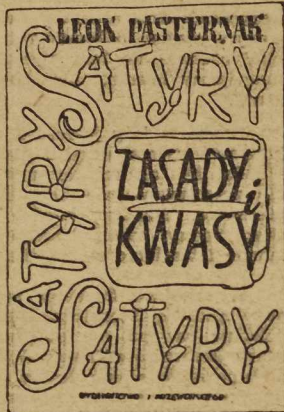
Jakże w ramach krótkiego artykułu omówić zagadnienie tak niesłychanie ważne? Tak bezpośrednio wiążące się z pracami społecznymi, ze służbą zdrowia, z planem odbudowy miast i wsi polskich? Plan sześciolatni, wzmacniający fundamenty socjalizmu w Polsce, musi uwzględnić na jednym z ogólnych miejsc zagadnienie zalesienia kraju. Do walki z śmiercią, do walki o zdrowie i dobrobyt milionów powinna stać się nie tylko młodzież ZMP, nie tylko młodzież szkolna, ale każdy świadomy obywatel. A tylko świadomi obywatele wchodzący mogą w skład społeczeństwa o celistycznym.

Wynikiem bowiem tej walki o las będą nie tylko wartości, ściśle wytyczone w jednostkach, nie tylko podniesienie wydajności z hektara, nie tylko przywrócenie tytułu a tytułu hektarów ziemi urodzajnej, ale pomnożenie jednostek zdrowia, jednostek uśmiechu i radości życia.

Leszek Goliński

NA PÓŁCE

z książkami



Leon Pasternak
ZASADY I KWASY — SATYRY.
Wyd. J. Przeworski. Warszawa 48.

Pasternaka nie trzeba przedstawiać czytelnikom. Jego cięte satyry i fraszki drukują wszystkie almanach tygodniaki literackie. Należy jednak zwrócić uwagę czytelników na ukazanie się w wrocławskich księgarniach doskonałego zbioru satyr pt. *Zasady i kwasy*.

Nazekamy na stały brak dobrych wierszy, które można by było recytować na wieczorach artystyczno-literackich i na przeróżnych akademickich. Akteorem naszym sygnalizujemy bogaty materiał zawarty na 60-ciu stronicach zbioru.

Pierwsza część, w której autor

zgrupował 24 fraszki, poświęcone jest przodkowi „Podskaktywcom”, kłopotom doby powojennej i tym wszystkim, o których w kapitalnej fraszce „Biografia snoba literackiego” Pasternak pisze:

Koronkowy kornierz.
Aksamitne spodnie.
W zubożonej rodzinie
Wzrastali chłopiśta maleńki...
I potem:
„Demokracja (przepraszam!)
Jest jak jarda „na lebkę”.
Choćby ślepek był największy
Wszystko w końcu się wepcha”.

Chłastaniu tych właśnie, którzy się „wepchali” dedykują autor cięte satyry z cyklu „Był ludzki”, wiersze „O pewnym poecie lewicowym”, „My kłopoty” i „Bajeczkę o czarnej reakcji”.

Druga część fraszek — to doskonały zbiór „Zerem po Europie”.

Trąfnością spostrzeżeń imponują wszystkie nieomal „dziennikarskie” wierszowane reportaże, wśród których najlepsze są „Porwanie Europy”, „Podróże kształce”, „Wiersz zagraniczny niby satyryczny” i znakomita „Recenzja z wystawy nowego malarstwa z granic”.

Cz. Ost.

Ojezyczna moja

BOLESŁAW GARBOS

Ojezyczna moja — nie fra zes, nie patos:
Wielka, jak kontynenty
Nieopłynięta,
Skromna, jak siano pokos.

Ojezyczna — nie świętość, za którą
Jeno cierpieć, krwawić, u mierać trzeba,
Ale codzienny lyk niższy ej chmury,
Powszedni bochen chleba.

Ojezyczna — nie szandarów orły,
A tym mniej herby,
Ale ręce, co przesydy podarły,
Spracowane, mocne ręce, jak czyn harde.

Ojezyczna — nie armat zdobycz, krwi bluzgot,
Generatów zwycięstwa,
Ale zdobycz potu i mózgów,
Codzienne ujarzmienie zła, krzywdy i nieszczęścia.

Ojezyczna — nie bitne arnie,
Czy rządów o wawrzyn rozboje,
Ale serce, co nędzę cudzą przysgarbnie
Jak swoją.

Ojezyczna — nie rasy kult, wiary przesąd,
Nie graniczne mosty,
Ale wszędzie — po prostu,
Gdzie ludzie żyć się cieszają.

HISTORIA Michała Rozena

LILIAN SEYMOUR

Pewnej nocy chłop z dwóch wsi został zwerbowany z łopatom do kopania dołów.

— Żydów będą strzelać — wiadomość tę przyniósł wieśniaczem Siwek.

— Dajcie znać komu trzeba, potem pójście do inżyniera Rozena i ostrzeżcie go, że Żydzi mają być pędzeni do Nowego Sącza pieszko. Wiadomość jest pewna.

Inżynier Rozen uciekł tej nocy. Szwagier jego, Wicek, podwiózł go furą w półkoszku nakrytego słomą do Myślenic. Stamtąd Rozen musiał sobie już sam radzić, aby dotrzeć do chaty Tekli.

Chłapy i osiedla wtulone były jeszcze w głęboki sen. Wiało od nich wrogością. Rozenowi nigdy świat nie wydawał się tak przeraźliwie pusty. Gdy szedł tak polami, każdy cień spotkany po drodze, każdy sterczący pal wydawał mu się śmiercią oblewaną w realny kształt. Wiatr wyginał potężne drzewa, chmury przewalały się po niebie, czarne, skłębione i słowrogie. Rozen wypiał swoją wąską pierś przeciwstawiając ją wicherze i szczerzej otulił się wizytowym płaszczem, woniejącym silnie nadtalną. Podniósł do góry akasminy kornierz, czapkę mocniej wcisnął na głowę. Frenz byłby odpowiedniejszym strojem, jednak jasna plama mogłaby zwrócić uwagę w ciemnościach. Kazał przeto pasierbowi wyjść z kufra ze strychu ciepły płaszcz. Teraz płaszcz ten nie tylko chronił go od zimna i wroga, ale przy woływał w pamięci świat dawniejszy, lepszy, w którym żona jego Aniela kisała na zi-

mą kapustę albo krajała na stole potkie sioniny.

Czerpał siłę z Anieli nawet teraz. Czy ona jak jej dzieci wypuściłaby go z domu samiego w takiej chwili? Może poszłaby z nim? Kto wie? W Anieli była siła. Zawsze jej zazdrościł tej pewności siebie, jaką miała ta prosta kobieta. Pamiętał, jak śmiało szła na operację do szpitala. Przed odejściem wydawała służącej dyspozycje, kazała odmalować pokój, pozowiąc dywany, aby ich synowie nie zmieszali podczas jej nieobecności. Od chwili gdy zawiadomili go, że zmarła, już nie odzyskał pełnej równowagi duchowej. Nie mógł mu się w głowie pomieścić, że ta energiczna Aniela, czerstwa i zażywna, pozwoliła położyć się do trumny i spokojnie w niej leżeć. Życie straciło dla niego już wtedy dużo ze swego uroku. Świeżo pomalowany pokój stał pusty, dywany pozostały zwinięte, na grobie Anieli wyrosły piękne jałowce. Odeszła bez pożegnania, bez wyjaśnienia i bez przygotowania. Śmierć zaskoczyła ją podstępnie, wykorzystując zapewne jedyną okazję.

Pies zawył w oddali. Rozen skurczył się w sobie. Znał, wrócił w ziemię. Stracił odwagę by iść naprzód, tam skąd doleciało go słowrogie wycie psa.

Poczuł silny, dotkliwy ból, przymknął oczy, usiłując na chwilę zapomnieć o życiu. Nie tyle obawiał się śmierci, ile nieświadomości. Ludzie będą kisił kapustę, trzajali sioninę, kosili siano, a jego już nie będzie. Pociągi będą biegły nadal, lasy będą szumiały, woda będzie płynęła, a z niego zostanie garść kości.

Zatęsknił nagle ogromnie za Aniela. O jak chciałby móc w tej chwili schronić się do jej łóżka. Pragnął aby ogarnęła go swoim silnym ramieniem i choć było mu duszno, choć silna woń jaką wydzielala jej ciało, niemniej drażniła jego nozdrza, przytulała się do niej silnie, gdy na dworze wyla burza. Ożenił się z nią dlatego, że wyczuwał w niej tę przemożną siłę. Sam był słaby i wątły. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swej słabości. Delikatność fizyczna szła u niego w parze z wrodzoną subtelnością. Był tak skromny, że choć miał dwadzieścia siedem lat, Aniela, wdowa po rzeźniku, u której zamieszkał w miasteczku, była pierwszą jego kobietą. Starsza była od niego o cztery lata. Ożenił się z nią i zmienił dla niej wiarę. Była kobietą ośmielającą go do tego stopnia, że bez zenady wiaził pod jej pierzynę i kładł obok niej swe zalekione, zupełnie ciało. Przyjmowała go chętnie, wyposzczona pięcioletnim wdowieństwem. Z początku liczyła tylko na jego dyskretność, nigdy nie mając nadziei, aby ten miejski, uczony człowiek mógł traktować ją, wdowę z czworgiem dziećmi, poważnie. Gdy poczuła się matką po raz pierwszy i zawiadomiła go o tym straszką, zamiast się martwić, bardzo się ucieszył. Nie chciał słyszeć o usunięciu płodu, przeciwnie, był czuły i uważający, prosił aby się oszczędzała. Zrazu zaskoczona propozycją małżeństwa, była przecie zadowolona, zwłaszcza, gdy wyraził chęć przerwania nia się. Pod pretekstem zbawienia go, została jego żoną.

Ojcował jej synem przez długie lata, był z nich dumny

i kochał ich na równi z własną córką. Najstarszy pasierb skończył prawo, średni — medycynę, trzeci chodził tuż przed wojną na politechnikę, a czwarty, nie mający ochoty do nauki kształcił się na dobrego fachowca, cukrownika. Niusia, jego rodzona córka, zdawała przed wojną maturę i miała iść na farmację. Pasierby ignęli do niego jak do rodzzonego ojca, dumni ze stanowiska jakie zajmował, a także z majątku jaki posiadał.

Teraz, gdy siedział skulony w pustym polu, cały ten dobrobyt był gdzieś poza nim, nie liczył się jak dawniej. Małżek został przepisany na córkę i na pasierbów przez wzgląd na różne okoliczności. Rozen nauczył się od Anieli przezorności. Każdej ewentualności szedł na spotkanie. Nie zaniedbał niczego. Posunął się tak daleko, że gdy tylko zaczęły się przesładowania Żydów postarał się o to, iż jego córka została uznana za nieślubne dziecko. Przypisał jej nazwisko pierwszego męża matki. Teraz był o nią spokojny. Wyparł się własnego dziecka, aby je uchronić od przesładowań i dać możliwość życia w społeczeństwie, w którym wyrosła. Przykro mu było, gdy donoszono mu, że córka jego jest rozszalona na matkę, iż uczyniła ją córką Żyda. Ale w tych warunkach, jakie wytworzyła wojna, nie mógł mieć do niej o to żalu, rozumiał ją doskonale i czynił co mógł, aby rzekomą krzywdę jej pochodzenia naprawić.

Niusia była dobrym dzieckiem, gorliwą katoliczką, daleko gorliwszą od matki. Aniela wierzyła w Boga, ale jeszcze więcej wierzyła w siebie i w pieniądze. Rozen musiał jej nawet teraz przynajmniej rację. Gdyby nie wzgląd na jego stanowisko i pieniądze, gdzie byłby w tej chwili? Czy mógłby teraz leżeć w polu żywy i słuchać stumione go szeptu trawy, czy mógłby wpatrywać się w wędrowkę chmur po niebie?

Doszedł do zabudowań gospodarskich nie spostrzeżony przez nikogo. Psy ujadły. Stał za stajnią, przez słabo utkane szpary słyszał wyraźnie jak jedyna krowa Tekli żuła paszę. Osiedle jeszcze spało utulone smaczynem. Jedyne bydle stukotało o dyle stajni. Rad był z tego wtargnięcia w zwierzęcą sprawę. Nie czuł się już taki osamotniony. Wstający dzień budził w nim nową obawę: jak go tu przyjmą?

Trzymając ciągle w pogotowiu łaskę, poczęł ostrożnie skradać się bliżej chłupy. Doszedł do sęgu drzewa, kucnął za nim i spostrzegł, że zaraz za sęgiem jest male okienko. Długo się namyślał zanim zdecydował się delikatnie w nie zapukać. Stuknął raz, drugi, trzeci. Za czwartym razem w okienku ukazała się rozczochrana głowa staruchy. Przez zakopconą szybę trudno było dojrzeć coś we wnętrzu izby. Baba przytknęła twarz do szyby i jęła mu się przyglądać. Patrzył na siebie w milczeniu. Rozen nie potrafił wydobyć ze siebie słowa. Stał i czekał. Baba nie ruszyła się od okna, ale widział, że czyni jakieś ruchy. Domyślił się, że wkłada spodnie. Zniknęła. Usłyszał odsuwanie skobla i skrzyp drzwi, pierzchanie spod nóg kur. Za chwilę wyłoniła się z za węgla, po lewej stronie domu i zaskoczyła go od tyłu. Przedstawił się, ale rozespana kobieta zdawała się nie rozumieć.

Wyjaśnił cel swego przybycia, sam nie wierząc w niego. Postanowił raczej pójść w las, tak jak stał, niż znieść te obójności staruchy, patrzącej na niego jakby nigdy przedtem nie oglądała człowieka. Gdy nierz przed laty przychodziła do jego rodzinnego domu, do Tekli, kłaniała się spódnicy i dygała przed nim jak przed biskupem. Teraz mierzyła go małymi ślepkami i czuł, że pragnie, aby sobie poszedł.

Oclagając się zaprowadziła go do izby, w której okna zastąpiły jeszcze były płach-

tami i kocami. Wskazała mu ławkę, sama poczęła ścigać z okien zasłony, następnie kazała mu bez ceremonii wstać i wrzuciła je do środka ławki, na której siedział. Zaczęła krzątać się koło pieca. W izbie zrobiło się prawie jasno. Panował w niej zaduch zalegający zimną wilgocią. Izba stała na piwnicy, zauważył to wchodząc. Tymczasem jakiś kształt poruszył się na postaniu i czyjaś męska głowa podniosła się spod paslającej pierzyny. Para oczu patrzyła na niego znad obrośniętej twarzy. Mężczyzna usiadł na łóżku, ziewnął głośno i przeciągnął, zagarnął rękami włosy znad czoła i spytał:

— Coście za jeden?
— Znajomy Tekli. Chciałem z nią mówić.
— Skąd jesteście, z lasu?
— Nie, z miasta.
— Musielicie uciekać? Toście pewnie Żyd?

— Nie katolik.
Po raz pierwszy legitymował się swoją wiarą. Uczul przytem nieznosny wstyd za siebie. Słowo „katolik” wypadło tak słabo, jakby było kłamstwem, sam w nie wierzył. Ale w tej izbie śmierdzącej zrobiło się od tego słowa jakoś cieplej i jaśniej.

Mężczyzna wysunął nogi spod pierzyny, zawiązał sznurki u kalesonów, naciągnął na siebie jakąś ciemną koszulę. Zawołał na Teklę po imieniu, szturknął ją ze dwa razy w bok nim się rozbudziła na dobre.

— Wstań, masz gościa.
Tekla od razu go poznała.
— Jezus Maria! Skąd się pan tu wzięli. Już wstał. Nie czekała na jego odpowiedź, za co poczuł do niej wdzięczność. Naciągnęła szybko spodnie. Podeszła do niego i nim się spostrzegł cmoknęła go w rękę. Poczuł się tym zażenowany, stało się to jednak tak szybko, że nie mógł temu zapobiec.

— Zaraz będzie kawa. Zmarzył pan. Kawa was rozgrzeje. U nas tu pod lasem (dalszy ciąg na str. 3-4)

GRAFIKA RADZIECKA SZTUKA, UPOWSZECHNIONA

W pierwszym okresie wielkiej rewolucji w sztuce radzieckiej starły się dwa kierunki: nowatorski — modernistyczny i realistyczny. Pierwszy był mieszaniną wszelkich awangardowych kierunków zachodnio-europejskich i nie wytrzymał próby czasu. Nowemu odbiorcy trzeba było dać inną sztukę. W r. 1925 podczas otwarcia wystawy „Achrru” odrzucono oficjalnie naśladowstwo za zgodnych kierunków nowatorskich. Wymagano od świata artystycznego odczuwania współczesności. „Istotnym artystą może być tylko człowiek wrażliwy na potrzeby swego czasu” — oświadcza przedstawił rząd, — czasy nasze są zbyt poważne, a zadania zbyt pilne, aby sztuka mogła pozostawać na tych wyżynach, na które wzniosły ją tylko rozpieszczone umysły”. Już w 1933 r. stwierdzono na wystawach nieublagane zamieranie bezprzedmiotowego kubizmu, a równocześnie powrót do realizmu.

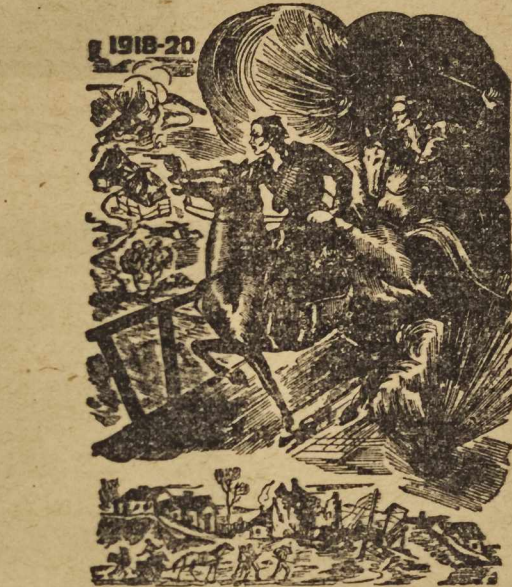
W służbie współczesności poszła z miejsca grafika radziecka, która z czasem, ze względu na wysoki poziom formalny, osiągnęła pozycję europejską. Aktywność grafiki radzieckiej rozwinęła się szczególnie w kierunku ilustracji książkowej i plakatu propagandowego. Do wysokiego poziomu artystycznego wzniosł się szczególnie drzeworyt w ilustracyjnym zastosowaniu. Grafika książkowa stała się równocześnie doniosłym czynnikiem wychowania estetycznego najszerszych mas czytelników. Graficy radzieccy ilustrują dzieła klasyków rosyjskich i europejskich i dochodzą stopniowo do drzeworytu do mistrzostwa formalnego. Trzeba też silnie podkreślić to, że grafika radziecka wiąże się trwale ze sztuką ludową. Wśród licznych indywidualności artystycznych wyróżniają się A. Krawcenko i W. Faworski.



A. KRAWCZENKO — BARKA (DR ZEWORYT)

A. Krawcenko — to artysta o silnym temperamencie twórczym. Prace jego cechuje dynamizm, monumentalność, patos i pewna wyżywność. W. Faworski — to mistrz techniki drzeworytniczej. Kompozycje jego są zwarte i mocne. Prace te wyróżnia wyjątkowość faktury graficznej. Operuje przeważnie kreską. Graficy ci wywarli silny wpływ na całą młodą grafikę radziecką.

Specjalnie zainteresuje nas twórczość J. Ezeistowa, który doskonale ilustrował dzieła Mickiewicza. Przepięknie ilustruje książki Dickensa E. Budogosi. Wyróżnił się też J. Niwiński, P. Staronow, M. Piskarew, M. Kuprejanow, M. Tugnow, W. Kasian, A. Dowgal, J. Szpinel i P. Pawlinow. O. Sachnowska — najzdolniejsza uczennica Krawcenki — zajmowała się specjalnie rolą kobiety radzieckiej.

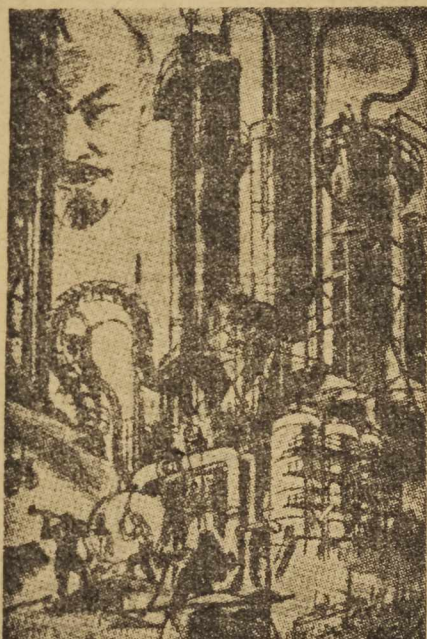


Z. SACHNOWSKAJA — TERRORYSTKA (DRZEWORYT)



G. A. EZEISTOW — MICKIEWICZ (drzeworyt)

dzieckiej we wszystkich dziedzinach życia. Grafika radziecka spełnia wielką rolę społeczną w odbudowie zniszczonego życia. Jako ilustracja książkowa towarzyszy i żołnierzowi i robotnikowi. Spopularyzowana przez książkę, stała się własnością całego radzieckiego społeczeństwa. na-wa-ra.



I. I. NIWIŃSKI — PRZEMYSŁ NAFTOWY W ZSRR (SUCHA IGŁA)

HISTORIA

Michała Rozena

(Dalszy ciąg ze strony 2-cj) stałe kręca się szpicie. Szukają ludzi lasowych. Nie dawno rozstrzelali chłopca z osiedla, za to tylko, że ktoś donosił, iż w las nosił mleko naszym. Tu nie jest bezpiecznie.

Tekla postawiła przed Rozenem garnuszek dymiącej kawy, i talerz nakrojonego chleba. Na spodeczku osobno, trochę buraczanej marmelady i dwie pastylki sacharyny. Wziął do ręki filiżankę gorącego płynu, podniósł do ust i szybko postawił z powrotem na stole. Spiekł sobie język. Zły był na siebie, że się tak śpieszył, jakby gdzieś miał zająć na omówioną godzinę.

— Co u was jeszcze słychać? — zagadnął mężczyźnię, który usiadł przy stole i w milczeniu wpatrywał się w jego rysy. Taksował go prawdopodobnie, jakie ma szanse przedostania się stąd do Warszawy, bez wzbudzenia podejrzeń oraz zwracania na siebie uwagi.

— Bieda. Nasi giną jak muchy, za byle co. Teraz z kolei taksował ubranie inżyniera. Rozen poczuł się nagle nieswojo. Zdało mu się, że chłop obdarzył go z ubrania, może z zegarka i wydał w ręce gestapo. Dostanie za to jeszcze nagrodę, czuł, że zrobił źle, idąc tu, zamiast od razu zawrócić, jak nakazywał mu instynkt samozachowawczy.

— Jak wypijecie kawę, zaprowadzę was na stodołę albo na stajnię. Damy wam koce, prześpić się. Tu w chałupie nie można, za często zaglądają sąsiady. Dobrze, że macie ciepłe i mocne ubranie. Buty też macie dobre, prawie nowe.

W miarę jak chłop zachwalał poszczególne części garderoby, dusza zamierała w Rozenie ze strachu. Był całkowicie zdany na tych półdzikich ludzi, on, obcy, nie miał podstaw liczyć na ich współczucie, nie miał prawa ich narażać.

Gdy skończył kawę, chłop, którego Tekla nazywała Marcinem, wstał, wziął do jednej ręki poduszkę i koc, a do drugiej siekierę i czekał, by Rozen szedł za nim.

— Chciałem pomówić z wami Teklo — rzekł, starając się zyskać na czasie. — Pomówimy jeszcze. Wyjdę do pana ze śniadaniem. Spodziewamy się raniutko ko goś ze wsi. Nie chcielibyśmy, aby was zastano w chałupie. Taka rzecz zaraz się rozlecie.

W głosie Tekli wyczuł szczerość, przeto sięgnął po tezkę i z pewnym ociąganiem się wstał. Lekko się takiej śmiał, jak zamierzał, jak wyczuwał, że dać mu ten chłop. Zawsze się bał, aby mu ktoś nie rozplątał głowy siekierą albo tępym narzędziem.

Był już u progu, gdy chłop jeszcze zawrócił i jął grzebać w pozabawionym szyb kredensie, po czym wsunął coś do kieszeni.

Odrzygnął drzwi sieni i wyrzucił na dwór, rozglądając się dokoła, po czym dał znak Rozenowi, który w tej chwili miał szaloną ochotę puścić się pędem do osiedla, narobić alarmu. Ale bał się, że chłop ogłuszy go siekierą lub żmłem, a tak może przynajmniej aglinie szybciej, od jednego cłosu.

Na boisku chłop oddał mu siekierę do potrzymania, a sam zniknął w szopie. Wrócił za chwilę z drabiną, prawie pozabawioną szczebeli i złożył ją u nóg inżyniera. Znowu wyszedł na chwilę i wrócił z kilkoma patykami. Uklęknął na boisku na jednej nodze, wyjął z kieszeni gwoździe i włożył je do ust. Następnie zaczął sobie podać siekierę i jął wbijać szczeble w drabinę, — tak, aby można było po niej wyleźć. Rozen, który stał przed nim i patrzył na tę pracę, zaczął go w duchu przepraszać za krzywdzące podejrzenia. Nigdy żaden człowiek nie wydał mu się tak dobry i pocieszył jak Marcin, wbijający brakujące szczeble w drabinę, aby on mógł po niej wygodnie wyleźć na stodołę.

— Właśnie panie, ja wam drabinę potrzymam. Drabina zakłócała się pod nim. Wydał się sobie sam bardzo ociężały. Z trudem przeciągnął pierś przez ostatni dyl, głowę zanurzył w słomie.

Obaj zabrali się do kopania w słomie kryjówki. Szybko dotarli do gołych desek. Marcin tu i ówdzie zatykał szpicelami.

tykał szpary. Po kwadransie Rozen mógł się wygodnie położyć. Nim to zrobił, wyjął z portfela plik banknotów i wręczył chłopu. Ten przyjął pieniądze natychmiast.

— Schowam to, będziemy was mieli panie za co lepiej odzywać. Gdy wam będzie zimno, Tekla przyniesie wam chustkę wełnianą. Pierzynę musimy zostawić na łóżku, żeby chałupa nie wyglądała pusto i podejrzanie. Niech pan się położy spać. Zostawię panu siekierę, my w chałupie mamy drugą. Nie wiadomo co może się zdarzyć. Nic to życie nie jest warte, że prawda, ale człowiek nie chce tak ginać, chciałby doczekać lepszych czasów.

— Dziękuję wam — powiedział Rozen po prostu. Chciał powiedzieć chłopu „Bóg wam zapłać”, ale to powiedzenie wydawało mu się w tej chwili nienaturalne. — Odwdzięczę się wam za to, jak doczekamy — dodał po chwili.

— Obyśmy tylko doczekali — westchnął chłop i zrzuciłszy ze stodoły narezczone słomy dla porykującej krowy, zaczął zlać jak kot po ścianie.

Rozen zanurzył się w słomie jak w gnieździe, na pół siedząc. Oparł głowę o słomianą barykadę, okrył się kocem, przymknął oczy.

Zbudził go krok po słomie, tuż koło jego głowy, ostrożne, skradające się kroki kogoś, kto chce go zapewne obrabować. Nie śpi już, ale nie ma odwagi otworzyć oczu, by nie ujrzyć Marcina, wymachującego nad nim drugą siekierą.

— Spią pan? — pyta szepem Tekla.

Rozen otwiera oczy. Tekla cupnęła przy nim na słomie, w ręce trzyma dymiący garnuszek. Zalutuje go zapach rosołu. Podnosi się na łokciach, przeciera oczy jakby się zbudził po bardzo długim śnie. — Zgotowałam panu mocny rosół z kury. Mięso obrane jest z kości, żeby panu wygodniej było jeść. Nie wiem czy panu będzie smakował rosół z ziemniakami. Na mieliśmy maki na makaron.

Rozen bierze w dłonie ciepły gliniany garnuszek. Zaledwie wczoraj, o tej mniej więcej porze spożywał suty obiad u siebie w domu. Między dniem wczorajszym a dzisiejszym jest gruba ściana nieprzespanej nocy i podróży, choć krótka, to jednak daleka, bo unosząca go od tego wszystkiego, co składało się na jego względnie normalne życie, na świat jak najbardziej bliski, bo własny. Dziś jest tak niepodobne do wczoraj, jak dzień do nocy.

Poprawiła mu słomę koło nóg i rozepchała trochę gniazdo, aby się mógł wygodniej wyciągnąć.

Ledwie drzwi stodoły skrzyknęły za Teklą, rozległ się turkot pojazdu na drodze od strony osiedla. Jakies znajome głosy dolatują Rozena. Zamarł cały, gdy rozeznął głos pasierba Władka. Co za nieprzeznaczenie, musi chyba być pijany, że lekceważąc sobie wszelką ostrożność odważył się tu zająć do nlego. Ludzie w okolicy znają bryczkę i konie Rozena, gdyż pasierb często używa jej objeżdżając chorych.

Niecierpliwość Rozena dochodziła do szczytu. Ma ogromną ochotę wyleźć z kryjówki i zejść tam do nich. Po ciemności, trwającej wieki całe, wreszcie skrzyknęły drzwi. Ku stodołę skradają się kroki bosoego człowieka. Rozen nie rozumie dlaczego drzwi stodoły są otwierane tak ostrożnie, skoro konie stoją przed domem, a z domu dochodzą go teraz podniesione głosy.

— Boga w sercu nie mać! — krzyczy rozdrażniona Tekla, a krzyk jej dolatuje Rozena zupełnie wyraźnie. Nie zastanawia się nad tymi słowami, bo zobaczył głowę staruchy obwiązanej szarą chustką, wylaniającą się ku niemu. Starucha zmęczona wspanianiem się po dylach ku górze, dyszy i ciężko sapie.

— Gdzie jesteście? — pyta.

Rozen podrywa się niecierpliwie. Zrzuci z nóg koc. Po łapkach owiewa go chłód stodoły. Podchodzi do staruchy. Ręce jej obejmują ostatni okraglak, żyły na nich są napięte, widać je, ciemno-niebieskie, przez przeźroczystą żółtą skórę, silnie nakrapianą brązowymi centkami wą-

trobianych plam i piegów. Oczy czarne i niespokojne krążą po stodołę, jakby usiłowały wypatrzyć w niej lepszej kryjówki, niżeli ta.

— Mam zejść? — zapytuje schylając się ku jej uchu. — Siedzieć cicho! — starucha kładzie palec na usta i mocno marszczy czoło.

Rozen nie nie rozumie. A może to nie Władek? Wrócił na swoje miejsce, podniósł koc i nakrył się. Znowu upłynęła długa chwila, nim usłyszał głos Władka i skrzyp drzwi stodoły. Tak, to na pewno jest Władek.

— Musi się znaleźć. Jak się nie znajdzie, zawołam po niego, to ona wam języki rozwiąże.

— Możecie panie zawołać. Ojca tu nie ma. Nie wytrąsę wam go z rekawa.

— To dlaczegoście go puścili jak tu przyszedł do was?

— Bośmy się bali. Nam życie jest mile.

Ostatni argument zdawał się w końcu przekonać pasierba. Zaczął się zbierać do odwrotu, już rękę wyciągał do drzwi, kiedy Rozen nie wytrzymał dłużej tego napięcia:

— Ratunku! — krzyknął przerażenie z całych sił i upadł w słomę.

Niechże ojciec spróbuje zleźć na miłość boską, jeżeli nie jest tam związany. Dlaczego ojciec tak cicho siedział, choć słyszał, że go szukam? — zapytał z wyrzutem.

— Schodzę — rzekł, ciągnąc z całej siły drabinę spod słomy.

Nogi drżały pod nim gdy zlał w dół. Zdało mu się, że na każdym z pięciu szczebli spotka się z czymś strasznym.

Zszedł wreszcie i pytając patrzy na trzy osoby stojące przed nim. Żadna z nich nie rusza ku niemu.

— Jedziemy? — nie wiadomo dlaczego jeszcze pyta go o zgodę pasierb.

— Co komu pisane, to go nie minie — wzdycha sentencjonalnie Tekla. Inżynier rozumie to jako groźbę pod swoim adresem. Lecz gdy Marcin wyciąga do niego nagle rękę, jakby tym gestem prosił o przebaczenie, Rozen podaje mu swoją na znak przebaczenia i wychodzi za synem.

Podchodząc do bryczki, widzi zza węgła stajennego wynurzacą się staruchę. By jej nie robić przykrości Rozen nie patrzy w jej stronę. Udaje, że jej nie spostrzegł. Idzie prosto ku bryczce. Wóz Janek uchyla przed nim czapki nie nie mówiąc. Inżynier to zauważa, bo Janek zwykle jest bardzo gadatliwy. Siadając na bryczce. Pasierb podaje ojczy mowi w milczeniu róg koca. Janek popęda konie, po mału robi dookoła gnojówki obrót w prawo, by wyjechać z osiedla tą samą drogą, którą przyjechał. Rozen automatycznie uchyla przed chałupą, na której dopiero teraz zauważył małą figurkę Matki Boskiej, swą czapkę. Troje ludzi stojących przed chałupą odprowadza go wzrokiem, dopóki bryczka nie zniknie w wąskim wąwozie za osiedlem.

Miałem straszne przeżycie dzisiaj i gdy zasnąłem na stodołę, jakiś koszmarny sen. Jestem szczęśliwy, że przyjechałem. Co słychać w domu? Pytali o mnie?

— Pytali. — Daliście im pieniądze? — Burmistrz nie chciał przyjąć pieniędzy.

Mimo wszystko to porządny człowiek. Trzeba będzie dać mu ładny prezent. — To ładny jak wszyscy „volksdeutsche”. Mało nie-szczęścia spowodował? — odparł dopiero po długiej chwili pasierb i po raz pierwszy spojrzał w oczy ojczyma.

— A co z aptekarem? Popędzili go do Sącza z innymi?

— Nie. Został.

— To chwala Bogu. Ale nie trzeba się przejmować synu. Wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Gorzej jeszcze wygląda jak ja, choć to młody, a nie ciele chcieli zamordować... Gdzie pomyśleć, że ta Tekla tyle lat służyła u mego starego ojca, mieszkając z nim pod jednym dachem, przyrzadzała mu jedzenie, pielegnowała go w chorobie, nie, nie może mi się to głowie pomyśleć. Chyba ta stara (dokończenie na str. 4-cj)

7c, o czym się mówi

● O „kieu” słów kilka

W grubym, bogatym numerze „Odrodzenia”, który ukazał się w okresie wielkonoconym Artur Maria Szwajnar nie zamieścił ciekawej felietonu p. t. „A co będzie z cyrklem?”. Nie negując słuszności wywodów autora na temat projektowanego przeobrażenia widowisk cyrkowych (mniej akrobacji, więcej satyry), stajemy się tuż nad jednym zdaniem.

Autor felietonu cytuje dwa fragmenty z „Quo vadis” Sienkiewicza, zaopatrując je kłopotliwym (dostojnym):

„Tak z (czytanego) między „Sherlockiem Holmesem” a „Przygodami eszpernoskorych prokuratorów” międzynarodowej stajni kieu wspaniałym pierwsze świadomości o cyrku”.

Można sprzeczać się co do podziału Sienkiewicza i nie tylko można, ale nawet trzeba pójść w tym to wszystko, co salomnie zatęchłą sielachetystyczną, frazeologią czy klerykalizmem. Wąt-

piemy jednak, czy właśnie pan Artur Maria ma prawo tak nazywać dzieło, za które Sienkiewicz, jako jedyny poza Reymontem pisarz polski otrzymał nagrodę Nobla. Można atakować Sienkiewicza jako pisarza, nie-społecznego z duchem epoki, nie-reklamowanego przez konserwatyistów i sanację, wątpliwy jednak, czy właśnie pan Szwajnar jest przystojnowany do nazywania „Quo vadis” „międzynarodowej stajni kieu”.

Są bowiem różne kieu, czasem i międzynarodowej stajni: są też kieu znaczącej mniejszej stajni, po prostu krawowskiej lub warszawskiej. I naprawdę nie trudno będzie bezstronnie krytykować — marksistycznie, przy całym jego negatywnym ustosunkowaniu się do błędów Sienkiewicza, ocenić, który kieu jest najmniej zły.

Nie wydaje się celowa pod każdym pozorem taka samowolna i lekkomyślna dewotacja prze-

złości. W niczym interesie ona nie leży. Byłymiś zawsze pochopni do samopiętnowania, nigdy do rozumnej samokrytyki. Samopiętnowanie bowiem odnosiło się do całego narodu, do wszystkich nas, a nie do jednego człowieka, do którego z tego, kto ją głosi i o to już rzecz znacznie mniej mity.

Nie zaczynając więc żadnej bezprzedmiotowej apoteozy, nie stawiamy łatwo i jednym tchem cenzurę, nie będąc do tego predestynowani. Nie przekreślamy pewnych bądź co bądź, uznanych i trwałych wartości — chociażby stylistycznych. I chociażby pod względem tego styku mógł być autor felietonu „Co będzie z cyrklem?” wiele się od owianego go „kieu” nauczyć.

W cyrku należy uszlachetniać także słowo — pisze ob. A. M.S. Stuznie — i nie tylko w cyrku. Od czasu do czasu czynić to należy także na szpalach poważnych czasopism.

Analfabeci

Wróciwszy z odprawy u starosty, kierownik zwołał nas do swego pokoju i rzekł:

— Czeka nas, obywateli, nowa robota. Przyszło z województwa zarządzenie, żeby zacząć natychmiast akcją zwalczania analfabetyzmu. Władze przyładowują do tego podobno wielką wagę. No i starosta każe nam zająć się tym. Nie wiem właściwie, ilacznego akurat nam...

— To całkiem proste, obywatelu kierowniku — wtrącił Marczak. — My mamy już doświadczenie w zwalczaniu, więc po co inni mają się od początku uczyć. Czy nie zwalczyliśmy w rekordowym temple szabru?

— I spekulacji artykułami pierwszej potrzeby — dodał Bednarek.

— I tajnego gorzelnictwa — dorzucił Kwiatkowski.

— I plagii szcurów, i pijactwa w dni wypłat — dokończył ja.

— Tak, rzeczywiście, osiągnięcia mamy poważne — przyznał kierownik. — Toteż myślę, że i z tego nowego zadania wywiążemy się jak należy. Wy, obywatele Kwiatkowski, macie chwilowo najmniej roboty, powierzam

wieć wam zorganizowanie całej akcji. Władze, jak powiedziałem, przywiązują do niej wielką wagę, trzeba się więc wziąć z zapalem do roboty.

Kwiatkowski zabrał się do rzeczy, jak trzeba. Nie dając dostać w zeszłym roku



dyplom za całkowite i przedterminowe zwalczenie produkcji bimbru. Jeszcze tego samego dnia zamówił w drukarni plakaty z obmyślonymi przez siebie sloganami:

„Analfabeta — wrogiem demokracji”, „Hańba analfabetom!”, „Zniszczymy analfabetów — wrzód na ciele narodu”. Pod koniec tygodnia plakaty rozlepiono w całym powiecie. Jak opowiadali przyjeżdżający wójtowie, na analfabetów padł blady

strach. Kwiatkowski zacierał ręce.

„Precz z analfabetyzmem!”

— Poczekajcie — mówił, — to dopiero początek. Już ja, nie chwając się, wiem, jak

JERZY JESIONOWSKI

trzeba zwalczać. Zapytajcie „bimbrarzy”.

Rzeczywiście — na analfabetów posypały się ciosy. Pouczeni przez Kwiatkowskiego wójtowie załatwiali odmownie wszelkie ich prośby. Kwaterunek nie przydzielał mieszkań tym, co nie wykazyli się umiejętnością pisania. Tym z nich, którzy mieli już mieszkania, dokwaterowano do sublokatorów. Po wsiach ogłoszono, że analfabeta nie będzie się sprzedawać na wozów sztucznych.

Ale środki te okazały się niewystarczające. W ciągu miesiąca ilość analfabetów w powiecie zmniejszyła się tylko o dwie staruszki, które umarły naturalną śmiercią. Reszta znosiła ciosy uparcie, choć z niezadowolaniem.

Kwiatkowski przykreślił śrubę. Zabronił przyjmować do pracy analfabetów. Tym, którzy mieli własne gospodarstwa, podwyższono podatek gruntowy. Te środki odniosły już pewien skutek: następne miesięczne sprawozdania z gmin wykazały zmniejszenie się ilości analfabetów o 20 proc. Jeden nauczył się czytać, reszta wyjechała z powiatu. Kwiatkowski założył się z Bednarkiem, że w ciągu dwóch miesięcy zlikwiduje całkowicie analfabetyzm w powiecie.

Zastosowano dalsze represje. Analfabetom, którzy mieli posady, wymówiono je. Po daciek gruntowy dla nieumiejących czytać podwyższono znowu o 300 proc. Potem znowu o 500 proc. Zrzućnawani analfabeci sprzedawali pośpiesznie gospodarstwa i wyjeżdżali. Jeszcze przed upływem 2 miesięcy ostatni z nich opuścił granice powiatu.

Kwiatkowski wygrał. Kierownik przyznał mu premię i obiecał przedstawić do awansu. Wszystko zdawało się być na jak najlepszej drodze — aż tu nagle przyjechał inspektor. Właśnie w sprawie analfabetyzmu. Zaczął się wypytywać, co i jak. Kwiatkowski pokazał mu plakaty, wykresy, miesięczne sprawozdania z gmin. A on — ni z tego ni z owego — pyta:

— Słuchajcie, obywatelu, a nie przyszło wam czasem do głowy, żeby po prostu uczyć tych analfabetów czytać i pisać? Na jakichś, dajmy na to, kursach?

A potem, wyobraźcie sobie, zawieścił Kwiatkowskiego w urzędowaniu. I kierownika także, i starostę.

TEATRY

dolnośląskie

TEATR POPULARNY



Romans z Wodewilu — Scena zbiorowa

ZYDOWSKI TEATR DOLNOSLASKI



Głitek Hameln żąda sprawiedliwości — Ida Kamińska w roli głównej

PAŃSTWOWY TEATR DOLNOSLASKI



Cyrulik sewilski — Poreda w roli głównej

Poromansujemy

WŁADYSŁAW KRZEMINSKI

Uwielbiam reklamę. Wprawdzie jeden z moich znakomitych przyjaciół twierdzi, że o sobie, szczególnie dobrze, pisać nie warto bo i tak nikt nie uwierzy. Jednak poprobuję.

Z zawodu jestem reżyserem. Niektórzy mówią, że młodym. Ja się uważam za starego konia. Zastanawiam się nad tym, czy pisać o mojej pracy reżyserskiej, czy też po prostu począć, aż będę miał zaszczyt walory mego znakomitego talentu, (proszę zwrócić uwagę na słizny zwrot reklamowy) ujawnić w obec niemniej znakomitej publiczności wrocławskiej.

Pisarzem jestem z nałogu i może dlatego, że mam nie-tychane niewyraźne pismo i gwałtem chciałbym je uczynić czytelnym.

Od dwóch lat moje zainteresowania literackie poszły w kierunku zaniedbanego nie stety od niepamiętnych czasów gatunku twórczości dramatycznej, wodewiliu.

Próby moje były z początku bardzo nieśmiałe, a znając niechęć poważnych teatrów do sztuk z „muzyczką i piosenczkami” — znalazłem przychylność w radio. Moje wodewile radiowe „Cheiwość ukarana”, „Miłostki ułańskie”, „Czerwone domino”, „Złote niedole” i inne zdobyły zaufanie i szerokie rzesze słuchaczy.

„Romans z wodewiliu” powstał prawie przypadkiem. Jako reżyser krakowskich teatrów miejskich, miałem dla Starego Teatru przygotować jakieś przedstawienie sylwestrowe. Rozważaliśmy różne sztuki, wreszcie uzgodniono, że wodewili, ale jaki? Nie ma wodewili! Podjąłem się go dostarczyć.

Wiele czasu nie było i należało postużyć się schematami jakiejś istniejącej krotchwil. Pomyślałem o „Krowoderskich Zuchach” Stefana Turskiego. Niestety, kiedy przypomniałem sobie ich treść z egzemplarza Turkiego, ogarnęło mnie przerażenie. Typowo lumpenproletariacka historia o pijackiej rodzinie Gyzyskich, pełna ordynarności, niewybrednych dowcipów i dobrych mieszczan krakowskich, kończąca się przykłądą zgodą andrusów z „wielkodusznymi” małomieszczanami.

Pozostało tylko jedno, albo odrzucić utwór Turkiego, albo napisać nowy, wyszukując jedynie pewną rodzajowość klimatu Turkiego i ewentualnie strzępki anegdoty. Tak też się stało. Napisałem nowy wodewili, z nowym tytułem i innymi ludźmi.

Niebawem „Romans z wodewiliu” grać będzie kilka teatrów w Polsce m. in. Warszawa (Teatr Nowy), Łódź, Poznań itd., ale premiera wrocławska ma dla mnie szczególne znaczenie i ocze-

kuję jej ze wzruszeniem. Wrocław, stolica Ziemi Zachodnich i krakowski wodewili, przedmiejskie piosenki i tańce, szczerzy, prosty humor i wdzięk krakowskich murarzy.

Jak to przejdzie? Jak ludzie, którzy ze wszystkich stron Polski zjechali, aby tworzyć wielki, piękny Wrocław, będą odczuwali to przedstawienie i czy czują tak samo jak ja, że to wszystko jedno, czy we Wrocławiu śpiewamy krakowskie piosenki, a w Krakowie wrocławskie, że wystarczy tylko zmienić słowa, ażebyśmy czuli, że jesteśmy razem! Jestem głęboko przekonany, że za rok zagramy w Krakowie wodewili o Wrocławiu. Jeśli nikt inny, to sam go napiszę.

Myślę, że wystarczy o sobie. Bardzo mi się spodobało pisanie o własnym talencie i czuję, że mógłbym napisać jeszcze bardzo dużo, ale wrodzony takt każe mi skończyć na tych kilku „niewielkich skromnych słowach” — tym bardziej, że chciałbym dalsze poswiecić łagodnemu zaleklamowaniu mojego przyjaciela, kompozytora Alojzego Klucznika. Znacznie łatwiej przyjdzie mi go chwalić, bo obiecał mi, że zaprosi mnie na dobrą kolację.

„Napisz sobie sam” namawiałem go. Ale nie chciał się zgodzić. „Wiesz przecież, że nie umiem” oponował. Istotnie. Alojzy Klucznik prócz nut, które pisze naprawdę ślicznie, pisać nie umie.

Toteż ja piszę wszystko za niego. Nawet listy do rodziny. A on wzamian pisze dla mnie muzyki do moich wodewiliów i komedii muzycznych.

Jak samo nazwisko wskazuje, Alojzy Klucznik nie jest krakowianinem i stąd tak doskonale zna krakowskie melodie i tak ładnie je instrumentuje. Do najznakomitszych kompozycji Klucznika — oprócz kilku chorów, symfonietek i pieśni, które rymy stale zoapatrza wielką krakowską orkiestrę radia — należą kompozycje do moich wodewiliów radiowych i scenicznych. „Romans z Wode-

wiliu” jest jego ostatnim dziełem.

Chciałbym w ogóle za wszelką cenę zdobyć Waszą przychylność. Był taki doskonały obyczaj w teatrze: ntycznym greckim, kiedy w czasie wielkiej przerwy t. paraba-zy, autor dbał o przychylność widzów, broniąc swego dzieła, polecał rozdzielać pomiędzy nich własnym sumptem nabyte pomarańcze, figi, jabłka, wino i tym podobne smakołyki. Doskonale pomyśl. Razem z Wami żałuję, że nie mogę go zastosować. Po pierwsze — nie mam pieniędzy, a po drugie — nie chce mi się tyle wydawać. Ale za to przyrzekam Wam, że na pięćdziesiąte przedstawienie „Romansu z Wodewiliu” przyjadę do Wrocławia. Wiem, że wolelibyście pomarańcze i figi. Nie traćcie nadziei... Jak przyjadę do Wrocławia, każdy dostanie — ...figę... i to z makiem osobiście utartym przez Floriana Gyzysika.

HISTORIA

Michała Rozena

(dokończenie ze str. 3-ciej) ra i ten chłop byli motorem wszystkich. Gdy tylko zobaczyłem jej twarz, nie podobala mi się. Wyobraź sobie, to ona przyszła do stodoły nim wszedłem i kazała mi siedzieć cicho.

— Tak?

— Od razu się domyśliłem, że jest coś nie w porządku. Poznałem wcześniej twój głos, wiedziałem, że przyjechałaś, aby mnie stamtąd zabrać. Czuję, że tam nocy nie przeżyję.

Władek Bednarek poglądził rękę ojczyma. Spojrzeli na siebie. Młodszy mężczyzna miał łzy w oczach. Rozen nigdy nie widział łez w oczach pasierba. Był tym faktem wstrząśnięty. Znał go dwa-dziesiąt lat i uważał go za twardego, nie przypomniał sobie nawet, aby płakał po śmierci matki, którą przecież kochał.

Tak wzruszony i szczęśliwy Rozen nie był dawno.

Jechali resztę drogi w milczeniu. Siedząc na bryczce, Rozen rozkochanym wzrokiem obejmował mijane ścierniska i pastwiska z rudymi plamami wypalonymi przez słońce. Gdy pomyślał, że mógł już nigdy nie widzieć tych pól zalanych słońcem, ogarnęła go taka miłość ku nim, jakiej nie czuł do ziemi w całym swoim życiu.

Wjechali w obręb gminy. Panowała tu niesamowita cisza. Jedynie gdzieś w oddali, od strony stacji dolatywał warkot motora w tartaku.

— Stanisław przed Wickiem

— krzyknął Władek do furmana.

Rozen zdziwił się, dlaczego Władek nie powiedział „na przeciw posterunkowi”. Tam był przecież posterunek policji niemieckiej. Nie bardzo rozumiał jaki interes mieli do Wicka w tej chwili. Chyba, że Władek zamierzał oddać Teklę i jej rodzinę w ręce policji? Nie, on, Rozen nie mógł do tego dopuścić. To byłby ich koniec. Ciemno to lud, bo ciemny, ale on nie chce go brać na swoje sumienie.

— Co chcesz zrobić? Złożyć doniesienie na Teklę? Nie trzeba!

Pasierb skoczył z bryczki nie odrywając się. Rozen zlął, wyprostował nogi jak po długiej drodze, spojrzął na chałupę i zobaczył wciśniętą w okna głowy Wickowej rodziny. Zdało mu się, że w drugim oknie mignęła twarz Niusi, wobec czego rozczulony i uradowany sklerował swe kroki ku domostwu szwagra.

Przed sienią Władek zatrzymał go nagle szarpnięciem.

— Nie będę tam już chodził — rzekł i objawiając Rozena za szyję pocałował go w same usta, następnie teatralnym ruchem zsunął mu się do nóg, po czym zerwał się i pobiegł za chałupę.

Rozen nie miał czasu zastanawiać się nad tym nieoczekiwanym postępkiem pasierba, bo właśnie z izby wyszedł gestapowiec Kurt Betig i drugi Niemiec w muni-

durze. Choć Betig znał Rozena doskonale z widzenia, zapytał:

— Bist du Michael Rozen?

— Ja — odparł zdumiony inżynier.

— Du bist verhaftet.

Z izby wyłonił się pasierb Janek. Twarz miał szarą jakąś, niesamowitą. Za nim ukazała się Niusia. Była opłoniowana i spokojna.

Pasierb i córka stali przed Rozenem a on wodził oczyma od jednej twarzy do drugiej. Widział przed sobą pozabawione krwi maski. Niusia poruszyła ustami, zrobiła krok naprzód.

Milczenie trwał parę sekund, a wydające się Rozenowi wiekiem, przerwał Kurt Betig wrzeszcząc:

— Los, los.

— Pojadę z tobą do kościoła. Zamówiliśmy ci księdza. Nie miej nam tego za złe. Chętnie wszyscy zginęlibyśmy za ciebie, bo i tak zginąć musimy, ale... Niusia urwała nieporadnie.

— Mamy obowiązki — zakończył za nią pasierb Janek.

Rozen nagle wyczuł, że stało się coś, czego taki jak on człowiek nie mógł objąć swoim umysłem. Wyraźnie odczytywał teraz swój wyrok, wypisany na ich twarzach. Zrobiło mu się ich straszliwie żal. Biedni ludzie, biedne dzieci. Niusia...

— Los, los — wrzeszczy po raz drugi niecierpliwy Betig. Rozen zęgną spojrzeniem nieruchome twarze. Ma teraz tylko jedno jasne, wyraźne pragnienie: umrzeć, aby ci ludzie nie musieli się wstydzili. Potrwa to tylko jedną chwilkę.

Wzrok jego zatrzymuje się na córce. Zupełnie jest w tej chwili podobna do jego kuzynki Ruchli. Dobrze, że o tym nie wie, jak bardzo jest do niej podobna. Cierpiaby, jeszcze więcej.

Niusia otrząsa się, wybiega za ojcem. Oświadcza gotowość towarzyszenia mu do kościoła.

Są przed bryczką, stoją naprzeciw siebie. Niusia ledwie trzyma się na nogach.

— Nie pojedę do kościoła — oświadcza kategorycznym tonem. Mogłby przez to zyskać na czasie, zdaje sobie z tego sprawę, ale nie chce. Nie chce ich wszystkich męczyć ani chwili dłużej. Wickowa podchodzi do niego. Wcisła mu w rękę mały blaszany krzyżyk.

Z pasją, na jaką zdobył się pierwszy i ostatni raz w życiu, rzuca demonstracyjnie wtłoczony mu w rękę wizerunek.

— Siadać — odzywa się niespodziewanie po polsku go stapowic.

Rozenowi stanęły przed oczami złote pomarszczone ręce, nabrzmiałe żyłami, obejmujące okraglak i zdawało mu się, że słyszy głos:

— Cicho siedzieć! — od kogo go grzbiecie przeszły go ciarki, taki mu się wydawał złowrogi. Nie oplera się dłużej, próbuje wdrapać się na bryczkę. Nogą odmawiając mu posłuszeństwa. Pasierb pomaga mu. Podtrzymał go za łokieć. Poprzez marynarkę i płaszcz Rozen czuje dotyk jego ręki. Ręka ta drży. — Ostatni ziemski dotyk — myśli — ten... — Dlaczego nie uściśnąć ręki staruchy?